CENA 1sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK X. NIEDZIELA, 15 LIPCA 1956 R. Nr 29 (473)

PUNKTY WIDZENIA

WYPADKI W POZNANIU A EMIGRACJA

W ciągu jedenastu lat od czasu Jałty dwa wypadki najbardziej wstrząsnęły emigracją: przed trzema laty uwięzienie Prymasa Wyszyńskiego i teraz wypadki poznańskie. Trzeba być razem z emigracją od początku, aby ocenić, jak głęboko i zasadniczo wiadomość o wypadkach poznańskich poruszyła całe polskie uchodźstwo. Poruszenie jest tak silne, że chwila ta mogłaby się stać punktem wyjścia dla przeobrażenia emigracji ze społeczeństwa nieco ospałego w społeczność bardzo zdynamizowaną.

Już pierwsze dziesięć dni od owego tragicznego czwartku wykazały wiele inicjatyw, które są reakcją na Poznań. Zjednoczenie Narodowe organizuje pomoc dla Kraju, organizacje uchodźcze nawiązują kontakty z organizacjami międzynarodowymi w celu zbiorowych protestów i interwencji, „Dziennik Polski" podejmuje wydawnictwa w obcych językach.

Wszystko to są, zapewne, akcje pożyteczne; źle byłoby, gdyby one nie powstawały, a sama ich liczebność świadczy wymownie o głębokości wstrząsu, jaki przeszedł przez społeczeństwo emigracyjne. Ale na pewno to nie jest wszystko, co na emigracji powinny wywołać wypadki poznańskie.

Mimo iż żyjemy na emigracji lat 11, nie wyrosło w nas jeszcze w ciągu tego czasu dostatecznie silne uświadomienie sobie tego, jaką funkcję — w obecnym rozdziale historii Polski — spełnia przebywanie dużej ilości Polaków na emigracji politycznej. W ubiegłych latach napisanych zostało tysiące artykułów i wygłoszonych było dziesiątki tysięcy mów na temat celu emigracji. Ale mało było takich wypadków, kiedy ona sama stawała wobec próby swojej użyteczności, kiedy jej potrzeba wystąpiłaby w kształcie obiektywnym, a nie tylko emocjonalnym i deklaratywnym. Po raz pierwszy ten obiektywny sprawdzian celu i potrzeby emigracji zarysował się jesienią 1953 roku, po aresztowaniu Prymasa, po raz drugi teraz.

EMIGRACJA MUSI POZNAĆ SWOJE PRAWDZIWE ZADANIA. W ciągu wojny z Niemcami społeczeństwo polskie poza Krajem zorganizowane było na zasadzie państwa przebywającego czasowo nie na swoim terytorium. Już wówczas byłoby lepiej, gdyby instrumenty tego państwa na wygnaniu były mniej kopią normalnego aparatu urzędniczego, a gdyby bardziej tak urzędy jak i ich funkcje dostosowywano do aktualnych zadań wojny i prawdziwych potrzeb Kraju.

Ale od chwili rozpoczęcia się nowej fazy emigracji, emigracji już nie samej politycznej, powinno się było wszystko zmienić. Jeśli należało utrzymać schemat organizacji państwowej, to wszystkie formy celebrowania urzędniczego, wszystkie kikuty dykasterii, cały tryb urzędowania, ministerowania, podsekretarzowania — powinny były szybko się skończyć. Skostnienie form, natomiast, doprowadzone na odmienną rzeczywistość jedynie dla upartego manifestu, nie tylko stwarza groteskę, ale marnuje siły, przeszkadza temu, co powinno powstać. Powstać zaś powinny były natychmiast te narzędzia, które w sposób najszybszy potrafiłyby spełniać zadania, dla których wykonania Polacy na emigracji zostali.

Ta oczywistość, zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, zaczynała się już snuć po naszych głowach błyskami cząstkowych rozeznań. Ale w pełni postawiły ją na porządku dziennym dopiero wypadki poznańskie. Trzeba sobie uzmysłowić, że w obliczu tych wypadków emigracja polska odezwała się trzema odrębnymi głosami. Że zobaczyła siebie podzieloną na trzy, a nawet cztery odrębne części, jeśli do Zjednoczenia, „Zamku" i Mikołajczyka doliczyć wydawnictwo „Dziennika Polskiego", który [illegible] polityków uważa, że ciężar aktywności powinien wziąć na siebie.

Ten podział jest nonsensem i szkodą. Jeśli przywództwo emigracji, wyprowadzone z koncepcji państwa na wygnaniu dało w skutkach taką dezintegrację, to należy natychmiast szukać sposobu, należy szukać płaszczyzny, na której by się dało uzyskać połączenie planu i wysiłków. Nie tu czas, aby ten temat szerzej rozwijać, ale zaznaczyć tu trzeba, iż wytworzony stan rzeczy w obliczu wypadków poznańskich zarysowuje się jaskrawiej niż kiedykolwiek.

W OCZACH ZACHODU. W dalszym ciągu artykułu bardzo silnie podkreślę ujemny w sumie bilans wypadków poznańskich z punktu widzenia interesów Polski. Nie można wszakże zataić, że przyniosły one również dla sprawy polskiej i znaczne skutki pozytywne. Przede wszystkim w odniesieniu do opinii społeczeństw tzw. wolnego świata. Bo jeśli chodzi o jego rządy, rzecz się ma inaczej i bardzo specyficznie. One i tak znają aż nadto dobrze położenie ludności Polski.

Ale opinia społeczna Zachodu została przez Poznań poruszona tragicznym położeniem ludności kraju, który od jedenastu lat pozostaje pod rządami komunistycznymi. Głód i nieludzkie traktowanie ludzi zostało pokazane pod same oczy nawet najleniwszych i w sposób taki, który nie miał niczego z propagandy czy sztucznej reżyserii. Przy tej okazji dokonało się bardzo mocnego podniesienia w awansie i sama emigracja. W świetle tych kilku dni, kiedy gazety światowe pełne były opisów i fotografii, okazało się, po pierwsze, że polska emigracja polityczna nie jest grupą zawiedzionych, [illegible] ludzi, podczas gdy jej Kraj idzie swoją własną drogą, ale, że jest prawdziwą reprezentacją milionów Polaków, i po drugie, że straszne rzeczy, które ta emigracja rozpowiada po świecie, nie są wcale zmyśleniem, ale są prawdziwsze, aniżeli sobie ktoś poprzednio wyobrażał.

SPOJRZENIE EMIGRACJI NA KRAJ. Wypadki poznańskie dały emigracji, ku jej niewątpliwemu wstydowi, nowe, lepiej powiedzieć, odnowione spojrzenie na Kraj. Powtarzam raz jeszcze myśl wyrażoną już poprzednio, że ostatnimi czasy obraz położenia Kraju mógł był doznać w wielu wypadkach w widzeniu emigracji bardzo znacznego osłabienia i skrzywienia. Skrzywienia w kierunku korzystniejszej oceny stanu rzeczy od tego, jakim on jest w rzeczywistości.

Wypadki poznańskie i ich przyczyny: głodowe, 500-złotowe pensje milionów ludzi, metody rządzenia: wyprowadzenie czołgów i karabinów maszynowych przeciw pochodowi ulicznemu — w jednej chwili ten nasz błąd emigracyjny skorygowały. Nic się w Polsce nie zmieniło w tym, co jest istotne. Kraj znajduje się pod okupacją karabinów maszynowych, ludność przymiera głodem, gruźlica dziesiątkuje ludzi. Wystarczy spojrzeć na te chude rączyny dzieci pokazanych na fotografiach dokonanych przez zagranicznych gości! Nie za dużo, ale za mało krzyczeliśmy tutaj. Jesteśmy wszyscy ludźmi i jest zrozumiałe, że chcieliśmy się pozbyć z myśli świadomości istnienia koszmaru, bo z takim obciążeniem nie łatwo jest żyć. Tyle tylko, że pozostawanie na emigracji nie jest szczęśliwym umknięciem przed złym losem, ale jest ciężką służbą.

NIE BYŁO I NIE POWINNO BYĆ ŻADNYCH POWSTAŃ. Przez całe jedenaście lat ludzie w Polsce walczyli. Gdyby nie było tam walki, mielibyśmy dziś społeczeństwo złamane, a nie jednolicie nastawione przeciw okupantowi. Ale walczyło ono środkami, które nie wywoływały masowych represji. Jak się okazuje, ten rodzaj walki może być również bardzo skuteczny. Leży w interesie sprawy polskiej, aby naród i nadal tylko ten rodzaj walki istniał. Jest wierutnym nonsensem twierdzenie reżymu, że wypadki poznańskie zostały zorganizowane z zewnątrz i że miała z nimi coś wspólnego emigracja. Ale jest faktem, że istnieją na emigracji ludzie, którzy — przy całym żalu i żałobie — uważają, że wypadki poznańskie są zasadniczo korzystne z punktu widzenia prawdziwego interesu polskiego. Jest to błędny sąd. W Kraju nie powinna się lać krew, nawet dla poprawienia szans propagandowych polityków wygnania najeźdźcy. W tej chwili cały układ międzynarodowy jest w stanie szybkiego ruchu. Nie ulega wątpliwości, że w obrębie takich przeobrażeń znajduje się przede wszystkim blok sowiecki. Kierunek tych przeobrażeń pozwala sądzić, że muszą one w końcu doprowadzić do zasadniczych zmian. Ale wszystko to dzieje się w ramach określonego czasu i nie należy życzyć sobie płacenia krwią za przyśpieszenie tego, co nie jest jeszcze możliwe. Należy życzyć sobie z całego serca i o to modlić, aby ludzie w Kraju przeczekali do dojrzewania procesu zmian, na linii normalnego rozwoju wypadków, ale nie krwawymi zrywami, nie powstaniami, nie rewolucją. Spokojnie, niezmienną postawą, naciskiem stawianych postulatów, ukazywaniem niezaspokajanych potrzeb.

NASZE BARKI TEŻ SĄ OD NOSZENIA CIĘŻARU. Niech Bóg broni, żeby komuś zamarzyło się teraz powtarzanie wzoru z czasu wojny z Niemcami! Trzeba sobie uświadomić, że ciężar prowadzenia walki o wyzwolenie spoczywa nie na barkach tylko Kraju, ale i naszych. Dla Kraju wystarczy zupełnie takiego działania, jakie prowadził dotąd, ale dla nas nie wystarczy tego, które dotychczas prowadziliśmy. Punkt ciężkości starań i istotnej walki przesunął się zdecydowanie na emigrację. Im większy ruch w sytuacji międzynarodowej, tym więcej obowiązków dla nas. Im bardziej kompromituje się koncepcja komunistyczna, tym w większej cenie jest każda rozsądna koncepcja polityczna dla terenów, gdzie się ta kompromitacja odbywa. Im bardziej czasy najbliższe mają w możliwości, tym bardziej wymagana jest zdecydowana i jak najbardziej jednolita działalność emigracji. Cieszymy się, że krew ludzi w Poznaniu tak wysoko podniosła sprawę polską w świecie, a nie chcemy myśleć, że **połączenie wszystkich głosów uchodźczych w jedno wołanie** mogłoby również przynieść duże rezultaty.

Jest oczywiste, że wypadki poznańskie zadały głęboki cios propagandzie repatriacyjnej reżymu. Nigdy nie miała ona wielkich szans, ale była pewna ilość osób, które rozważały, czy to już nie czas wracać do Kraju. Ważne w tych rozważaniach było nie to, że kilkadziesiąt osób pojechałoby do Polski wcześniej, niż to jest potrzebne, ale to, że powrót do Kraju czy pozostanie na emigracji zaczynało być uważane za sprawę absolutnie obojętną dla interesu polskiego, za sprawę neutralną. Tymczasem wypadki poznańskie pokazały, że powrót do Kraju emigranta jest w tej chwili więcej niż kiedykolwiek działaniem na rzecz owych sił zła, przeciw którym tylu ludzi w Poznaniu oddało swe życie.

Gdy się więc rozpatruje skutek zdarzeń poznańskich na emigrację polityczną, trzeba powiedzieć, że umocniły one emigrantom ważność ich roli, ich odpowiedzialności, ich zadań, oraz konieczność zwielokrotnienia czynności politycznych w wolnym świecie, których dotychczasowe nieskoordynowane inicjatywy są zaledwie drobną i niedostateczną cząstką.

J. R.

SPRAWA MAŁEJ ANULI

TRAGEDIA CODZIENNEGO ŻYCIA KATOLIKÓW W POLSCE

W jednym z poprzednich numerów ŻYCIA, w artykule pt. „Bez realizmu i bez demokracji" (nr 27 z dnia 1 lipca 1956) zasygnalizowane zostało nowe zjawisko z zakresu prześladowań, jakich doznaje w rządzonej przez komunistów Polsce życie religijne naszego społeczeństwa. Sprawa ta wymaga obszerniejszego zilustrowania, dlatego wracamy do niej tym bardziej, że sygnalizowane zjawisko, zamiast ustępować, wzmaga się, a ostatnie dwa tygodnie przyniosły dalsze w tej sprawie elementy.

Cała sprawa powstała na tle istniejącej w Polsce sytuacji wyznaniowej: cały bez mała naród polski składa się z ludzi wierzących, nieliczne zaś tylko jednostki dały się przeciągnąć na stronę wojującego ateizmu. Ponieważ w Polsce panuje przemoc, masy ludzi wierzących są upośledzone, natomiast garstka ateistów otrzymuje wszystkie przywileje, przede wszystkim ten, że we wszystkich szkołach ateistyczny pogląd jest podstawą nauczania w zakresie każdego przedmiotu.

Gdy ostatnio zarządzona „odwilż", postawiła dla komunistów problem, jak uniknąć skutków taktycznej liberalizacji na odcinku religijnym, aby nie zagrozić tym nielicznym wysepkom ateizmu, jakie zdołało się uzyskać. Zastosowano bardzo prymitywny i wulgarny chwyt taktyczny: postanowiono głośno, z podniesieniem do histerii wołać o rozpoczęciu się prześladowań podejmowanych przez katolików w stosunku do ateistów. Ukuto zarzut, iż katolicyzm i katolicy, korzystając z dozwolonej po XX zjeździe partii komunistycznej w Sowietach swobody, wyrzucili się systematycznie napadać i terroryzują ateistów najgorszym prześladowaniem. Rozpowszechnianie tej bajki przez prasę, radio i zebrania partyjne miało dać komunistom dwa dobrodziejstwa: z jednej strony miało prewencyjnie zmusić katolików, aby w czasie odwilży siedzieli cicho i nie odważyli się korzystać ze swobód, jakie taktycznie i dla innych celów głoszono, z drugiej zaś, aby rozpętać zbiorową histerię komunizmu zarówno w Polsce jak i gdzieindziej przeciw katolikom, których tym bardziej należy nienawidzieć i zastosować wobec nich — mimo „odwilży" — mocny kurs. Było to więc również przygotowywanie gruntu pod odpowiednią propagandę.

Od kilku miesięcy ten dokładnie ułożony plan jest ze wzrastającą siłą realizowany. Gazety, tygodniki, radio, zebrania pełne są tego tematu, poruszanego w formie produkowania krew mrożących w żyłach opowiadań o okrucieństwie i zacofaniu katolickim. Ta reprezentacja kłamstw przedstawiana jest przede wszystkim w formie listów, które ogłasza prasa i radio. Część tej korespondencji była najpewniej, w pierwszym okresie akcji, sfingowana. Dalsze listy są chyba autentyczne, jako rezultat poruszenia akcją grupek ateistycznych, nieliczne zaś — jak w wypadku listów nauczycielskich — dowodzą normalnego i szczerego podjęcia tematu.

Dla zilustrowania sprawy, zamieszczamy poniżej wiele z tych listów. Wydaje się nam, że istnieje tego potrzeba i to z wielorakiego powodu. Listy niżej zamieszczone ilustrują przede wszystkim samą opisaną w poprzednich zdaniach kampanię. Ale i ten powód nie jest najważniejszy. Z listów tych, jeśli się je uważnie czyta, wyłania się obraz tłumiony poprzez zespół twierdzeń i zaprzeczeń **powszedni, umęczony dzień życia katolickiego w Polsce**. Listy te, jak mało który reportaż, ukazują istotę prześladowań religijnych w Polsce. Są one potężnym głosem protestu, bijącym w sumienie świata przeciwko uciskowi religijnemu w krajach rządzonych przez komunizm. Teksty podane tu, i te, które zostały prawdopodobnie sfingowane i te, które napisane zostały przez czytelników w Polsce, ukazują obraz narodu, któremu narzucono obcy światopogląd i który **walczy z nim zastępami kilkuletnich dzieci**. Jedno z najbardziej tragicznych widowisk współczesnego, bezbożnego świata!

Teksty, które przytaczamy, ukazują się w postaci niezmienionej. Z jednym wyjątkiem. Wszędzie tam, gdzie redakcje pism komunistycznych używając imienia Stwórcy Wszechświata, kładą małą literę, przywracamy pisownię właściwą. Podkreślamy ten punkt ze specjalnym naciskiem. Rozumiemy, że mogą istnieć ludzie niewierzący, choćiaż ich poglądów nie podzielamy. Ale nie możemy zrozumieć ateizmu zoologicznego, który odrzuca wszelką tolerancję, stale jej urąga, choć przechwala się kulturą, brnie w ponurym barbarzyństwie, które nawet tego nie rozumie, iż w sprawach tak dla człowieka dominujących jak religia wymagane jest choćby tylko dobre, ludzkie wychowanie.

PIERWSZE KŁAMSTWO: TO KATOLICY PRZEŚLADUJĄ W POLSCE NIEWIERZĄCYCH KOMUNISTÓW

Głośna ze swych brutalnych audycji „Fala 49" w radiostacji „Warszawa I" wypełniła w dniu 21 czerwca br. swoją pogadankę wyżej omówionymi tematami. Między innymi cytowano rzekome czy prawdziwe listy od słuchaczy. Oto niektóre z nich:

Obywatel Jan Dziuk ze Skarżyska - Kamiennej:

„Droga 'Falo'!

Wzięliśmy z żoną ślub cywilny. Gdy w październiku urodził się nam syn, teściowa moja wypowiedziała się do sąsiadów w ten sposób: „Jak będę miała czas, to przyjdę tego znajdę zobaczyć". Słowa te całkiem mnie wyprowadziły z równowagi i postanowiłem napisać do nich, że ich znać nie chcę. Sam nie wiem, czy dobrze postąpiłem, bo ja chciałem z nimi dobrze żyć, po ludzku jak rodzina. Ale nic nie pomagało."

A obywatelka Wiktoria H. z Białegostoku pisze:

„Mam z mężem ślub cywilny. Mamy teraz małego synka, którego sąsiedzi przezywają bękartem, a mnie jeszcze gorzej. Dziecko nieraz przylatuje do mnie z płaczem, bo go przezywają i biją. Czym moje dziecko jest gorsze od innych?"

I jeszcze list od „strapionej matki" z Wrocławia:

„Jest okres wysyłania dzieci do pierwszej Komunii. Dzieci zostały powiadomione, że również ich rodzice muszą obowiązkowo przystąpić do spowiedzi. A którzy rodzice uchylą się od tego, to ich dzieci będą przyjęte do Komunii w innym terminie. Ponieważ wynika z tego jakieś wyróżnienie, więc jak ci rodzice będą się czuć wraz z dziećmi? Wracają, widać, te czasy, kiedy zmuszano ludzi do spowiedzi."

A teraz list od obywatela M. S. z Łodzi:

„Jakiś czas temu nasza sąsiadka, Dorejska usiłowała namówić obu moich synków do chrztu, polecając im ubrać się odświętnie do tej ceremonii i obiecywała im za to urządzić przyjęcie z winem i ciastkami. Dzieci mi o tym odpowiedziały, więc zabroniłem im bywać u Dorejskiej, ponieważ stale były tam przeciw nam nastawiane i nauczane. W dniu 13 maja, w niedzielę, Dorejska, po uprzednim uzgodnieniu akcji z księdzem i przy pomocy swego syna, Zbigniewa, doprowadziła Andrzeja do parafii ojców jezuitów przy ulicy Sienkiewicza 60 w Łodzi, gdzie dokonano bezprawnie chrztu. Dziecko dowiedziało się o zamierzonym czynie dopiero w kościele, a będąc z natury nieśmiałe i wątłe, bojąc się owego Zbigniewa, który je nieraz obijał poprzednio, zgodziło się na wszystko, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi. Fakt znamienny, że dziecko zapytane, czy umie pacierz, odpowiedziało, że nie — ponieważ faktycznie go nie umiało, gdyż było w innym duchu wychowane. Z tego też powodu byliśmy nieraz prześladowani, a nasze dzieci bite i wyzywane od żydów i szatanów.

„Gdy zorientowaliśmy się w sytuacji, udaliśmy się natychmiast do parafii, aby wyświetlić sprawę. Po kilkugodzinnej bieganinie dowiedzieliśmy się, że dziecko było ochrzczone przez księdza Władysława Chmurę. Na nasze zarzuty ojcowie jezuici usiłowali nas postawić przed faktem dokonanym i zbagatelizować sprawę. Ale dla nas — to jest krzywda i poniewierka moralna.

„To co się stało jest zaprzeczeniem tych wszystkich zasad wolności wyznania, które nam gwarantują prawa Polski ludowej. Proboszcz powiedział nam, że nie ma takiej ustawy, która by do takich rzeczy nie dopuszczała. Czy tak jest naprawdę? Czy to nie tryumf dewocji i znieważanie rodziców? Dotychczas Kościół był mi raczej obojętny i nie występowałem ani za ani przeciw. Teraz, po tym co się stało, jestem jego zdecydowanym przeciwnikiem. Nie pozyskali mnie. Zwolenników nie zdobywa się przez upokorzanie ich. Skorzystano z nieświadomości i bezbronności dziecka i sponiewierano uczucia rodziców."

DRUGIE KŁAMSTWO: SZKOŁA JEST MIEJSCEM TORTUR DZIECI LUDZI RZĄDZĄCYCH OBECNĄ POLSKĄ

Rozpoczęła na większą skalę tę napastliwą i perfidną akcję J. Borowska w „Trybunie Ludu" (z dnia 7 maja br.) artykułem „Cienie średniowiecza". Po miesiącu (dnia 2 czerwca br.) Borowska powróciła do tego tematu w artykule „Problem istnieje", cytując listy, które do niej miały nadejść. Poniżej parę cytatów z tych listów:

„Mam syna 15-letniego, który chodzi do klasy VII. Syn mój nie jest orłem, ale uczył się na trójkach i czwórkach. Tak było do roku 1952/53. W roku tym syn w dzienniczku przyniósł notatkę katechetki, zapraszającą moją żonę do odwiedzenia jej w szkole. Odpisałem, by sprawę nauki religii pozostawiono do uznania mojemu synowi, bo ja żadnej presji na niego wywierać nie będę. Od tej pory zaszły duże zmiany. Okazało się, że syn mój jest już mniej zdolny, mniej uważny, zaczęły się złe noty w dzienniku, uwagi itp. Na jednej z narad rodzicielskich wychowawca mego syna, bardziej znający sytuację w szkole aniżeli ja, zwrócił mi uwagę, że swym postępkiem (w sprawie nauczania religii) robię krzywdę dziecku. Miał rację — od czasu, gdy napisałem ową notatkę, nie ma już nadziei, by ukończył VII klasę.

„Dziś w szkole katechetka już nie wykłada, ale istnieje cicha kontrola, kto chodzi na lekcje religii i biada temu, kto się naraża skleryzowanej części nauczycielstwa. Dziś koledzy przychodzą, by wyciągnąć syna do kościoła. Trudno ich samych posądzić o inicjatywę w tej sprawie, niemniej jest nacisk na mojego syna poprzez inne dzieci. Gdyby nie władza ludowa i XX wiek, nie wahano by się stosować do niewierzących średniowiecznych metod w szerszym zakresie."

„Reakcja i część kleru — pisze „Komunista z Bielsko-Białej" — twardo i konsekwentnie walczyła ze światopoglądem naukowym, a my zajęci gospodarczą rozbudową, „nie mieliśmy czasu" widzieć, w którym kierunku idą zmiany w świadomości ludzi. Walka ta była jednostronna, bo przecież odczytów TWP nie można brać poważnie wobec potęgi uderzenia olbrzymiej armii wyznawców fideistycznego światopoglądu..."

Czytelniczka z Będzina **podaje cały program wzmożonej akcji ateistycznej na terenie szkoły:**

„Znany jest wpływ słowa pisanego na psychikę dziecka. Skorzystajmy więc z tego. Niechże „Świerszczyk", „Płomyczek" znajdą miejsce na omawianie zagadnienia poruszonego przez „Trybunę Ludu". Tak pięknie potrafią redaktorzy wspomnianych pism zainteresować dziecko przyrodą, pracą, postępami w nauce, harcerstwem, sportem. Niechże więc zainteresują czasem dzieci sprawą tolerancji wyznaniowej, wolnością sumienia, kulturą godną naszego ustroju. Niechże przerwą „wstydliwe milczenie". Radio w audycjach dziecięcych również mogłoby pójść tymi śladami. Wydaje się, że w tej istotnej sprawie prasa ta absolutnie nic nie zrobiła, mimo że „zmiany w człowieku nie dokonują się same".

„Podobnie jest z tematyką literatury dziecięcej. W przeszło stu książkach, przeczytanych ze swą córeczką, temat ten spotkałam jeden raz. Ale w jakim wycinku? Żenia z „Timura i jego drużyny" A. Gajdara pyta starszą siostrę, czy jest Bóg i otrzymuje odpowiedź: nie ma. Może to wystarczy w ojczyźnie Gajdara. U nas, niestety, nie. Nasze średniowiecze zatacza takie kręgi i jest tak głęboko zakorzenione, że temat ten trzeba ściśle połączyć z codziennymi sprawami dziecka, zestawić z bliskimi dziecięcej psychice faktami i w ten sposób skłonić dziecko do pewnych refleksji, do samodzielnego przewartościowania rzeczy postawionych w innym świetle niż stawia „dobra wola" rodziców, a niestety często i księży bardziej świadomych tego, co czynią.

„Jestem oczywiście jak najbardziej za tym, by zachować poszanowanie cudzych przekonań religijnych. To bowiem gwarantuje konstytucja, to stanowi jedno z fundamentalnych haseł humanitaryzmu i to właśnie nauczy dziecko poszanowania, a tym samym wytworzy w nim zalążki tego elementu kultury, który chwilowo wśród dzieci puszczony jest „samopas".

„Chciałabym, by artykuł „Cienie średniowiecza" wywołał taki oddźwięk, aby dzieci zostały odciążone od bolesnych i niepotrzebnych przeżyć i błędów."

DNO ZBŁĄKANIA

Na łamach tygodnika Związku Literatów Polskich „Nowa Kultura" praktycznymi zadaniami ateizmu zajmuje się Zbigniew Florczak. W numerze 25 tego pisma Florczak powraca do tematu rzekomego prześladowania ateistów przez katolików w Polsce w artykule „Rozważania — po raz wtóry". W artykule tym cytuje następujące dwa listy, które miał otrzymać po wydrukowaniu artykułu poprzedniego:

„...Jestem niewierząca; pół roku temu zostałam kandydatem partii. Mąż jest letnim katolikiem, tzn. katolikiem z przyzwyczajenia i nazwy, bo właściwie nie praktykuje. Mamy dwoje dzieci, 7 i 2-letnie. Dotychczas, przede wszystkim dla wygody i tzw. świętego spokoju, nie przywiązywałam wagi do kultów, które mnie ani ziębią ani grzeją. Za późno trochę zrozumiałam ten błąd, bo czasu jest niewiele — we wrześniu chłopiec idzie do szkoły. W Poznaniu w śródmieściu nie ma ani jednej szkoły TPD. Wybudowana w tym roku szkoła na Stalingradzkiej będzie szkołą państwową. Paciorek — ksiądz — katechizm. Jakkolwiek mały słyszał to i owo od babki i ojca, ale do kościoła nie chodzi, pacierza nie mówi, sądzę więc, że te początki o aniołkach nie zaważyłyby wiele jeżeli nie umacniać ich regularną nauką religii. Więc? Do państwowej — żeby nie chodził na religię? *Nie mam odwagi skazywać na to dziecka* (podkreślenie Z. Florczaka w „Nowej Kulturze") To jest ów nacisk, o którym mówiono parę tygodni temu w „Trybunie Ludu", a o którym przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego przy jednej z poznańskich szkół TPD mówił: trzeba mieć wiele odwagi, żeby nie wierzyć i bez wiary wychować swoje dzieci. Jego dzieci przychodziły ze szkoły pobite do krwi jako „żydzi" — za to, że nie chodziły na religię.

Jak tolerancja — to tolerancja. Trzeba mieć odwagę wychować dzieci bez wiary... Aż głupio się robi, zważywszy, że to jedenaście lat władzy ludowej...

I tu znów przejdę do swoich spraw... To co wyżej i tak stanowiłoby dość kłopotu, gdybyśmy mieli jedno zdanie co do sposobu wychowywania dzieci. Kłopoty są większe, bo w tej rozgrywce jestem zupełnie sama... Ustąpić? Nie do przyjęcia, jestem przecież odpowiedzialna za dzieci."

„Szanowny Panie!

„Czytając dziś w „Nowej Kulturze" Pana „Rozważania" pomyślałam sobie, że może się Panu przydać jako ilustracja Jego tez obserwacja wpływów religijnych, jakim poddane jest dziecko na terenie szkoły ze strony innych dzieci nawet wtedy, gdy nauki religii nie ma w programie. Pozwolę sobie zestawić dwa fakty dotyczące mojej córeczki, dziś już 11-letniej dziewczynki, Anuli.

Jeden wydarzył się przed czterema blisko laty, gdy zaczęła chodzić do szkoły. Mijając z koleżanką swoją, Marysią, kościół, nie przeżegnała się, co dało powód do następującej między nimi rozmowy:

Marysia: Tyś się nie przeżegnała?

Anula: Nie, bo ja nie wierzę w Boga.

Marysia: I nie modlisz się?

Anula: Nie.

Marysia: Gdybym się wieczorem nie pomodliła, miałabym straszne sny.

Anula: A ja się nigdy nie modlę i mam zawsze piękne sny. Wiesz, co mi się śniło? Lenin i słonie. Lenin chodził między słoniami i głaskał je. Takie mam sny, chociaż się nie modlę i nie wierzę w Boga.

Marysia: A mnie gosposia mówiła, że Bóg jest.

Anula: Mnie gosposia też tak mówiła, ale ja mam mądrych rodziców, to mi wytłumaczyli.

Marysia: A może jednak Bóg jest?

Anula: Jak ci mówię, że Boga nie ma, to możesz mi wierzyć.

Od tej pory Anula przejawiała czasem zainteresowania sprawami religijnymi, ale bez większego zaangażowania emocjonalnego. Aż dopiero niedawno wystąpiła do mnie z pretensją, że nie chce być gorsza od innych dzieci. Przyczyną tego stał się fakt masowego przystępowania w tym wieku do pierwszej komunii. Nie przyszło mi łatwo, by ostudzić zapał mojej małej, musiałam jej spokojnie wyjawić, że nie jest ochrzczona. Wywołało to litanię pytań o wszystkich żyjących i nieżyjących członków rodziny, o wszystkich bliższych znajomych i osoby znane z lektury, czy byli chrzczeni, czy wierzyli, praktykowali itp. Na razie na tym się skończyło. Mam nadzieję, że sobie i nadal poradzę, bynajmniej nie zaszczepiając dziecku braku tolerancji. Ale nie chciałabym, by działo się odwrotnie, by moje dziecko coraz znajdowało się pod obstrzałem. Dziękuję, że się Pan tą sprawą zajął.

Na pewno nie ja jedna mam tego rodzaju kłopoty, więc nie jest ważne, kto ten list napisał, ale z należnego Panu zaufania i szacunku nie zataję tego również. I.S."

(Dokończenie na str. 2)

SPRAWA ANULI

(Dokończenie ze str. 1)

MŁODZIEŻ WSKAZUJE SPRAWCĘ NIESZCZĘŚCIA — KOMUNISTYCZNY MATERIALIZM NAUKOWY

Najznamienniejszym głosem w tej dyskusji jest zespół listów od młodzieży szkół powszechnych i średnich, zamieszczony w ilustrowanym tygodniku „Dookoła Świata" (z dnia 27 maja br.). Listy te, najprawdopodobniej autentyczne, mówią wyraźnie o sprawcy tragedii samej młodzieży i jej rodzin. Sprawcą jest komunizm, który narzucił wszystkim szkołom w Polsce z najniższymi włącznie przymus podkładania pod lekcje wszystkich przedmiotów tzw. naukowego poglądu na świat, czyli ateizmu. To ten narzucony światopogląd powoduje ów tragiczny zamęt, który także tragedię osobistą i rodzinną wywołuje. I przy istnieniu tego przymusu mają jeszcze komuniści czelność mówić o „tolerancji" i „poszanowaniu wzajemnych poglądów"!

Oto kilka fragmentów z listów uczniów szkół powszechnych i średnich w Polsce:

Uczeń z Zielonej Góry pisze:

„Jeśli chodzi o mnie, przestałem wierzyć w istnienie Boga w drodze studiowania lektury naukowej, dyskusji, wreszcie wykładów szkolnych. Moim zdaniem, człowiek wierzący, który [illegible] nie potrafi umotywować swego stanowiska — przestał wierzyć [illegible]. Dlatego też wszyscy wierzący powinni przede wszystkim posiadać mocne argumenty, zawierające wiedzę [illegible] przekonywania, jak trudno przekonać szczególnie starszych. Rzecz jasna, że nie jest to kwestia tygodnia, czy miesiąca — potrzeba na to dłuższego czasu, no i oczywiście pomocy ze strony pedagogów. Ale tu wychodzi na światło dzienne — druga, dość poważna do pokonania przeszkoda. Niektórzy pedagodzy (mam na uwadze pedagogów tylko ze szkół podstawowych, na terenie naszego miasta) na dyskusjach tego rodzaju wysuwają [illegible] przekonywające argumenty o nieistnieniu Boga, ale równocześnie — dzień w dzień — przed rozpoczęciem lekcji uczęszczają do kościoła. Jest rzeczą oczywistą, że takie stanowisko poważnie przyczynia się do wypaczania młodych charakterów."

Inny młody człowiek z Wrocławia czyni takie uwagi:

„Dziecko uczęszczające do szkoły, już w młodym wieku dowiaduje się, że świat nie został stworzony, tylko powstał z materii. Przychodząc do domu zapyta się matki, z czego powstał świat — i niejednokrotnie usłyszy, że świat stworzył Bóg. Teraz powstaje rzeczywista rozterka. Jest wierny matce, [illegible] nauczycielowi, chodzi do szkoły, czuje się niedobrze. Z biegiem jednak czasu [illegible] dojrzewa i może już bardziej samodzielnie myśleć. W późniejszym okresie zmienia światopogląd, unika rozmowy z rodzicami. Rodzice są przekonani, że ich córka lub syn są religijni, gdy tymczasem [illegible] wielu innych sporów."

Młody człowiek z Augustowa pisze między innymi:

„Młodzież jest w ustawicznych konfliktach z rodzicami nie tylko z powodu niewiary w Boga, ale i z powodu [illegible] wielu rodziców wobec nowego ustroju. Niektórzy z nich są wręcz wrogo nastawieni do nowego społeczeństwa socjalistycznego i starają się wszelkimi środkami osłabić wpływ socjalistycznego wychowania na młodzież. Znam osobiście takich rodziców, którzy nie pozwalają synowi chodzić na zbiórki, czytać gazet, nie dają najmniejszego grosza nie tylko na osobiste potrzeby, ale wydzierają nawet to, co on ma. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie pozwalają np. chodzić synowi w czerwonym swetrze lub koszulce twierdząc, że to „zaraza" komunistyczna. Czy można wyperswadować takim rodzicom słuszność tej czy innej decyzji, jeżeli nas nie rozumieją? Nie, nie można z nimi dyskutować nad tą sprawą, ani tolerować się wzajemnie w domu. Za duży jest rozdźwięk między młodzieżą a tymi rodzicami. Co należy robić? Odpowiedź zostawiam redakcji i polemizującym."

Korespondent z Ełku pisze:

„Wiadomą rzeczą jest sam fakt, że w szkołach naucza się w oparciu o naukowy światopogląd leninowsko-marksistowski. W dużej mierze również lektura porusza sprawę wiary. To wszystko dokonuje w umysłach i zmienia młodych chłopców i dziewcząt wielkie przeobrażenia. Jesteśmy w takim wieku, który wszystko nas ciekawi i poprzez naszą ciekawość dochodzimy drogą naukową do różnych odkryć, które z kolei budzą w nas zwątpienie i krytycyzm. To często nie znajduje zrozumienia wśród rodziców. Nieraz rodzice robią z nas dwulicowych. Ileż to razy mama mówi — w szkole możesz mówić co chcesz, ale w domu masz się modlić i chodzić do kościoła. W rezultacie doprowadza to do tego, że z człowieka powstaje ni pies ni wydra."

I jeszcze jeden cytat młodzieńca z Warszawy:

„Moim zdaniem, wzajemny szacunek, wyrozumiałość, tolerancja (które sugeruje redakcja), nie wyczerpują zagadnienia. Młodemu Leszkowi Z. nie wystarczy sił, by móc przekonać choć do pewnego stopnia swoich rodziców. Trzeba rodziców bliżej zapoznać z programem nauczania w szkole, organizować dla nich odczyty i dyskusje na tematy światopoglądowe. Wtedy rodzice będą wiedzieli, dlaczego ich dzieci myślą inaczej, dlaczego walczą o swoją prawdę. Gruntowna wiedza jest najlepszym lekarstwem na konserwatyzm."

Bardzo charakterystyczny jest list innego ucznia, również z Wrocławia:

„Dzieciom wydaje się, że złapały prawdę za ogon i wszystko co do tej pory słyszały od rodziców, jest godne pogardy. Posiadaną mądrość — „namacalne" dowody, obalające w sposób „naukowy" wierzenia religijne, przekazują w sposób niezwykle prymitywny i powiedziałbym — nawet bardzo bolesny dla najbliższego otoczenia. Z takimi wypadkami mamy najczęściej do czynienia, gdy wynikają one ze zbyt powierzchownego przyswojenia sobie zdobyczy naukowych i mechanicznego tłumaczenia sobie wszystkich zjawisk nie wyłączając wierzeń religijnych. Nie można jednak tego upraszczać i wyciągać z tego wniosku, stwierdzającego wyłączną winę dzieci.

„Najlepiej będzie, gdy napiszę o swych własnych przejściach. Przed kilku laty, z chwilą rozpoczęcia nauki w szkole średniej, zacząłem, jak to zwykle bywa, brać po raz pierwszy „świat na ząb", usiłując rozgryźć wszystkie tajemnice w oparciu o to, czego dowiedziałem się w szkole i co przyswoiłem sobie za pośrednictwem książek, mniej lub więcej zawiłych, które czytało się aż do bólu głowy. Zamęt w umyśle panował nie lada, im więcej czytałem, tym bardziej wychodziły na jaw luki w wykształceniu i utwierdzały w przekonaniu, że to wszystko bynajmniej nie jest takie proste. Oczywiście, jak można się domyśleć, na ostrzu noża znalazły się również zagadnienia religijne i powstały odwieczne pytania kwestionujące istnienie Boga. W domu nie kryłem się z moimi wątpliwościami.

„Nie poprzestałem na lekturze, wdawałem się w dyskusję ze wszystkimi: z kolegami, z przygodnie spotykanymi ludźmi, w klubie, na przystanku, w parku. Jednym słowem stałem się „poszukiwaczem prawdy". Rozmawiałem z księżmi katolickimi, ewangelickimi, z „badaczami Pisma Świętego" i z ateistami. Nie było to takie proste, tym bardziej, że ludzie są bardzo nieprzystępni. Ale brnąłem odważnie dalej i w rezultacie pozostałem katolikiem."

STATYSTYKA ORGANIZACJI KOŚCIOŁA

W dzisiejszej epoce uwielbienia organizacji i techniki nie dziw, że znalazła się w Ameryce instytucja „Institute of Management", która za jeden z celów swych badań, prowadzonych w sposób naukowy, postawiła sobie organizację Kościoła katolickiego. Na przeprowadzenie tych badań Institute of Management uzyskał pozwolenie Stolicy Apostolskiej; w badaniach uczestniczyło 200 osób w Rzymie i w 30 różnych krajach świata. Przedmiotem badań było ustalenie, w jaki sposób Kościół, ujęty z czysto organizacyjnego punktu widzenia, wywiązuje się ze swych zadań. Sprawozdanie pt. „The Roman Catholic Church" zostało już ukończone i, uzupełnione dokumentami, ukaże się w ciągu bieżącego lata nakładem firmy Harper and Brs.

Na pierwszy rzut oka wierzący katolik musi odnieść się z nieufnością do takiego przedsięwzięcia. Czyż można wprowadzić do studiów nad Kościołem kategorie gospodarcze? Papież jednak wyraził swą zgodę na to. Udzielił audiencji prezesowi instytutu Martindellowi i zaakceptował przedłożony mu projekt. W sprawozdaniu Instytutu czytamy, że dzieła Kościoła są wynikiem Bożego kierownictwa. Nie wyjaśnia to jednak faktu, że „dobre i racjonalne prowadzenie agend może być przyczyną powodzenia działań kościoła". Służba pracowników Kościoła, tak jak każda ludzka działalność, z punktu widzenia dokonanego wkładu i sukcesu dostępna jest badaniom naukowym.

Całość badań ujęta została z dziesięciu aspektów, czy „czynników badań", jak je nazwano. Oto one: 1) wpływ społeczny Kościoła, 2) struktura organizacyjna, 3) uzyskiwanie i zastosowanie środków, 4) aktywność członków, 5) werbowanie, 6) ukształtowanie finansów, 7) kierownictwo agend, 8) sposób załatwiania agend, 9) administracja, 10) jakość kierownictwa.

W wyniku badań każdemu z tych działów — z iście „naukową" pedanterią — dano pewną ilość punktów, oceniających jego wartość i znaczenie dla całości.

Oczywiście tego rodzaju tablice nie mają zbyt wielkiej wartości, operują bowiem uogólnieniami i uproszczeniami, które dobre są w życiu „business", zawodzą natomiast przy charakterystyce zjawisk religijnych. Toteż te metody spotkały się z ostrą krytyką, m.in. ze strony znanego amerykańskiego socjologa i badacza zjawisk ekonomicznych Petera F. Druckera na łamach czasopisma „America". Jako przykład swawoli w uogólnianiu przytacza on takie twierdzenie, zawarte w sprawozdaniu: „Przeciętna gorliwość wiary u dzisiejszych wiernych jest naszym zdaniem mniej więcej o połowę mniejsza niż na początku chrześcijaństwa". Twierdzenie to ilustrowane jest w sprawozdaniu równie bezsensownym wykresem graficznym, mającym obrazować zmiany w natężeniu wiary u wiernych oraz równolegle z tym w świeckiej władzy Kościoła w ciągu wieków. Drucker zarzuca sprawozdaniu Institute of Management, że potraktowało ono organizację Kościoła jako cel sam dla siebie i że nie wykazuje zrozumienia dla katolickiego pojęcia istoty Kościoła.

Niemniej sprawozdanie zawiera wiele nagromadzonego ciekawego materiału. Oceniając działania Kościoła z punktu widzenia wyłącznie humanitarnego, konkluduje ono w dziale poświęconym społecznemu wpływowi Kościoła: „Żadna inna organizacja nie zdziałała tyle w ciągu tak długiego czasu dla dobra społeczeństwa... Niewątpliwie żadna inna społeczność religijna nie stara się w tych rozmiarach oddawać do dyspozycji swych członków usług różnego rodzaju; Kościół rzymski jest naprawdę katolicki". Jego działanie społeczne „wykracza poza wszystkie znane pojęcia".

W dziale drugim znajdujemy następującą tablicę obecnej struktury organizacyjnej Kościoła:

Kościoły	416.466
Parafie	177.027
Księża świeccy ...	257.763
Seminarzyści	65.328
Księża zakonni ...	119.445
Nowi księża (1954) ...	8.011
Męskie zgromadzenia zakonne	19.183
Ilość zakonników w nich ...	210.248
Żeńskie zgromadzenia zakonne	72.135
Ilość sióstr w nich ...	950.865
Zakłady wychow. dla chłopców	85.296
Ilość chłopców w nich ...	10.317.797
Zakłady wychow. dla dziewcząt	75.275
Ilość dziewcząt w nich	9.511.317
Zakłady dobroczynne ...	31.110
Ilość osób w nich	13.854.533
Ogólna liczba katolików	451.593.832
Ogólne zaludnienie ziemi	2.170.442.562
Okręgi juryzdykcyjne	
Kościoła (1955) ...	1.964
z tego w Europie	706
w Azji	407
w Ameryce Środk. i Południ.	332
w Ameryce Północnej	234
w Afryce	231
w Australii i Oceanii	54

Zestawieniem powyższym nie jest objęta Rosja ani część tzw. krajów satelickich (Rumunia, Ruś Podkarpacka, Bułgaria), z których brakło danych.

Ankieta wykazała — jak czytamy w sprawozdaniu — że organizacja Kościoła ujawnia rosnącą tendencję centralistyczną i autorytatywną. „Naczelnymi pasterzami kościelnymi diecezji są biskupi. W tym leży potęga i siła Kościoła. Biskupi posiadają rzeczywistą samodzielność, ale za sprawowanie władzy są bezpośrednio odpowiedzialni przed Stolicą Apostolską. Nie są oni delegatami Stolicy Apostolskiej, ale władzę swą sprawują mocą swych własnych urzędów".

Zdaniem autorów sprawozdania — które oczywiście nie jest wyrazem opinii czynników kościelnych — organizacja kościelna ma dwie tylko słabe strony: za mało dba o statystyczne zdawanie sobie sprawy ze skuteczności swych metod i za mało zostawia współpracownikom w kierownictwie inicjatywy i odpowiedzialności. Przede wszystkim sam Papież ma za dużo roboty i przez to za mało czasu wolnego. Papież Pius XII przyjmuje dziennie 2.000 osób. Pracuje siedem dni w tygodniu. „Żaden inny ziemski ani duchowny przywódca nie jest obciążony tak zdumiewająco wielkim nakładem pracy".

Imponująca jest tablica obrazująca działalność misyjną Kościoła. Działalność ta ujęta została w ramy organizacyjne dopiero w XVII wieku. Jej brakiem — zdaniem sprawozdawców — jest niedostateczne uwzględnienie strony publicystycznej.

Kościół katolicki — konkluduje książka — jest dziś nie tylko największym stowarzyszeniem religijnym, ale i największą korporacją na świecie w ogóle.

TADEUSZ ZIARSKI

PORTRET AMBASADORA

Nie wiem, gdzie znajduje się obecnie portret Franciszka Bukatego. Być może ambasador Raczyński, ostatni ambasador wolnej Polski, wie, co się stało z portretem ostatniego ambasadora Polski przedrozbiorowej przy dworze Świętego Jakuba. Portret wisiał na ścianie w ambasadzie w Londynie.

Franciszek Bukaty pochodził ze szlacheckiej inflanckiej rodziny, osiadłej na Litwie. Był najmłodszym z siedmiu synów Benedykta, herbu Pomian z odmianą i Zofii Wolbekówny. Czterech braci poświęciło się stanowi duchownemu. Antoni (umarł w 1786 r.) był proboszczem w Radoszkowicach, kanonikiem wileńskim, pod koniec Rzeczypospolitej komisarzem cywilno-wojskowym mińskim. Napisał zbiór kazań i kilka książek o treści religijnej. Kazimierz (umarł w 1793) był jezuitą, wileńskim kanonikiem i autorem kazań. Tadeusz Józef (umarł 16. 11. 1795 r.) był infułatem szydłowskim, biskupem tespieńskim i sufraganem żmudzkim. Jest autorem szeregu dzieł religijnych. Onufry był pijarem i teologiem królewskim.

Tylko Ignacy i Franciszek oddali się karierze świeckiej. Ignacy był rotmistrzem oszmiańskim, zaś późniejszy ambasador w Wielkiej Brytanii, Franciszek Bukaty, mając lat 24, w 1771 roku, rozpoczął służbę dyplomatyczną jako sekretarz posła polskiego w Londynie Tadeusza Burzyńskiego.

Poseł Tadeusz Burzyński, herbu Trzywdar, senator Rzeczypospolitej, po wybuchu konfederacji barskiej, wyjechał prywatnie do Anglii. Wychowanek Collegium Nobilium jezuitów w Warszawie, prowadzonego pod kierunkiem ks. Franciszka Bohomolca, w Anglii zetknął się z księciem Poczobutem. Pod jego wpływem nabrał podziwu dla brytyjskiej kultury politycznej i kiedy w czerwcu 1769 roku wrócił do Warszawy w towarzystwie posła T. Wroughtona, przedstawił w senacie swe poglądy i już 4 października tego roku zostaje wysłany w dyplomatycznej misji do Holandii i Anglii. Głównym zadaniem misji było zyskanie wstawiennictwa brytyjskiego za Polską w Rosji i Turcji. Misja nie powiodła się pomimo utwierdzenia w życzliwym usposobieniu do Polski króla Jerzego II i uzyskaniu poparcia lorda Mansfielda, znakomitego prawnika angielskiego. W 1771 roku, pozostawiając młodego Franciszka Bukatego jako rezydenta polskiego na dworze królewskim, Burzyński opuścił Londyn udając się do Włoch dla poratowania zdrowia, a w dwa lata później zmarł we Florencji.

Oficjalnie zastępcą posła został Bukaty w 1772 roku, a dopiero od 21 lutego 1789 roku — polskim nadzwyczajnym ministrem pełnomocnym. Połączona była z tym pensja około 1.200 dukatów. Pensja dochodziła jednak nieregularnie i poseł zmuszony był czerpać z majątku rodziny żony, z domu Prozorówny. W 1793 roku zaległości te sięgały sumy 4.283 dukatów, przysparzając dalszych kłopotów Bukatemu, borykającemu się z bardzo trudnymi zadaniami politycznymi.

Ponieważ stanowisko posła objął w czasie pierwszego rozbioru, a więc pierwszym jego aktem urzędowym była nota (z dnia 12. 8. 1772 r.) błagająca rząd brytyjski o interwencję przeciw rozbiorowi Polski. Wkrótce potem składa Bukaty dwa memoriały: z 1 i 29 października 1772 roku w sprawie reformy rządu w Polsce. 2. 10. i kilka razy później protestuje w obronie handlu gdańskiego. Te jego interwencje nie odnoszą spodziewanego rezultatu. Tylko nota, złożona wówczas przeciwko Fryderykowi II osiągnęła pewien sukces.

Książę Michał Ogiński (1731-1800), hetman wielki litewski, przebywając w Londynie w trudnej misji na wiosnę 1791 roku, bardzo polegał na zdaniu Bukatego, wysoko ceniąc jego rady i informacje. Określa go w swym pamiętniku jako „człowieka doświadczonego, znającego dobrze Londyn i Anglię". Franciszek Bukaty znał istotnie bardzo dobrze grunt angielski i był w Anglii ceniony, jako człowiek o dużym wykształceniu i wysokiej kulturze.

Utrzymując stosunki towarzyskie w sferach zbliżonych do rządu mógł oddawać cenne usługi w zakresie opieki nad Polakami przebywającymi w Anglii. A szukało wówczas schronienia w Anglii wielu ciekawych ludzi. Prymas Michał Poniatowski, brat króla, arcybiskup warszawski (1736-94), popierany gorąco przez Stanisława Augusta, zawitał do Anglii, opuściwszy Sejm Wielki. Był tu także Joachim Chreptowicz (1729-1812), podkanclerzy litewski, jeden z projektodawców Komisji Edukacyjnej, był także Jędrzej Śniadecki (1768-1838), lekarz i przyrodnik, później profesor chemii w Akademii Wileńskiej. Bukaty, będąc przyjacielem jego starszego brata, Jana, ułatwił mu zwiedzenie zabytków, a sam korzystał z humoru i talentu literackiego Jędrzeja nakłaniając go do pisania artykułów. Ukazywały się one w piśmie popieranym przez szwedzkiego ambasadora, przyjaciela polskiego posła i Polaków. Ostry dowcip Śniadeckiego zbyt był celny, by nie zwrócono na autora uwagi. Musiał opuścić Londyn wcześniej niż zamierzał.

Wychowany w rodzinie, która wydała czterech synów - księży, Franciszek Bukaty zajął się gorliwie zapewnieniem praktyk religijnych katolikom w Londynie. Gdy w Anglii zamknięto wszystkie kaplice w mieszkaniach posłów, polski poseł stał się jedynym opiekunem katolików w Londynie. Papież Pius VI w breve z dnia 15. 1. 1782 roku podziękował Bukatemu za „usilne starania i trud około poparcia żądań katolików o wystawienie nowego kościoła katolickiego pod opieką poselstwa i protekcją króla polskiego". Z upoważnienia Stolicy Apostolskiej prałat Jakub Talboth, biskup i wikariusz apostolski w Londynie, czuwał nad nabożeństwami dla katolików, schodzących się do poselstwa polskiego, do czasu zbudowania kościoła.

Franciszek Bukaty pilnie śledził wypadki międzynarodowe, szczególnie wojnę z powstającymi Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. 19 maja 1775 roku przesłał królowi „smutną nowinę" o rozpoczętej akcji między wojskiem angielskim a milicją amerykańską. Będąc konsekwentnym monarchistą, patrzył z niechęcią na czyny Pułaskiego i Kościuszki, natomiast przejął się śmiercią Grabowskiego, o czym donosił królowi w 1777 roku. (Grabowski poległ po stronie angielskiej w szturmie na Montgomerry w Ameryce.)

Gdańsk był stałą troską posła Bukatego. W sierpniu 1777 roku przedstawił rządowi brytyjskiemu memorandum, by użył wpływów u carycy, celem obrony Gdańska i handlu polskiego, zagrożonego przez Prusy. Dbając o utrzymanie handlu polskiego z Anglią, wręczył formalną notę sekretarzowi stanu, lordowi Suffolk, z dnia 12. 1. 1779 roku w związku z zakazem sprowadzania bydła i skór z powodu zarazy w Polsce. Wobec remonstracji, rząd brytyjski natychmiast cofnął zakaz. Było to niewątpliwie wynikiem przyjaźni posła polskiego z sekretarzem stanu. Kiedy lord Suffolk zmarł, w kilka miesięcy później, Bukaty donosi o tym Stanisławowi Augustowi (9. 11. 1779 roku) z takim zmartwieniem, jakby o osobistą chodziło stratę.

Ciesząc się poważaniem za granicą i w kraju, Bukaty przejawiał dużo inicjatywy. Przedstawił Pittowi (Młodszemu) projekt związku handlowego Polski z Anglią, który miał być oparty na wspólnym nowym porcie na Bałtyku, przy ujściu rzeki Świętej. Poseł brytyjski w Mitawie, Durno, poparł ten projekt przesyłając do Londynu memoriał o znaczeniu rynku polskiego dla Anglii.

W Polsce, podczas krótkiego pobytu, Bukaty przedstawił plan plantacji tytoniu. Komisja Skarbu zleciła mu sprowadzenie nasion i specjalistów z Ameryki. Sprowadził więc Amerykanina Chairburna i nasiona z Wirginii, niestety przedsiębiorstwo nie rozwinęło się i trzeba było nawet wypłacać odszkodowania.

Król Stanisław August darzył Bukatego zaufaniem i szczególnym uznaniem. W 1780 roku mianował go szambelanem królewskim, a w rok później nadał mu Order św. Stanisława, następnie Orła Białego. Zachowała się korespondencja Poniatowskiego z Bukatym z ważnego okresu 1789-93 — w czasach Wielkiego Sejmu i drugiego rozbioru. Listy króla rzucają ciekawe w wielu wypadkach światło na ówczesne wypadki historyczne, odsłaniając tu i tam kulisy działań politycznych i motywy królewskich posunięć. Bardzo królowi zależało na tym, żeby Bukaty pozostał w Anglii w charakterze posła. Pisze w jednym z listów, że odwołanie jego „byłoby wielką stratą krajową i dla nas". Stanisław August zaklina posła, aby mimo kłopotów finansowych i rodzinnych („tęskno do domu i do żony") a także i innych trudności, został za wszelką cenę w Londynie. Przeznaczony już na posła w Hadze Ogiński nie mógłby „głęboko myślących Anglików zadowolić". Ewentualni kandydaci, Moszyński i Dzieduszycki, pisarz, „umiejący oba po angielsku", mogliby wchodzić w rachubę.

Po wkroczeniu rosyjskich wojsk do Polski w maju 1792 roku Franciszek Bukaty wręczył jedną z ostatnich not 23. 7. 1792 roku w obronie legalności Aktu 3 Maja, odpowiadającego woli narodu. W 1793 roku sekretarz stanu, lord Grenville, otrzymał inną notę z dnia 13. 3. z protestem przeciw „gwałtownemu wejściu wojsk pruskich na terytorium Rzeczypospolitej". Konfederacja targowicka przesłała już instrukcję Bukatemu w tej sprawie. 18 lipca 1793 roku poseł polski raz jeszcze w obszernej nocie protestuje na ręce lorda Grenville przeciwko gwałtom dokonywanym przez Rosję i Prusy w Grodnie.

Była to ostatnia urzędowa czynność Franciszka Bukatego. Został niespodziewanie odwołany do kraju, o czym zawiadomił angielskiego sekretarza stanu 19 grudnia 1793 roku. Król odwołując polskiego nadzwyczajnego ministra pełnomocnego Franciszka Bukatego mianował jednocześnie posłem na dworze angielskim Tomasza Bukatego, który spokrewniony z Franciszkiem zaprawiał się w kunszcie dyplomatycznym pod okiem kuzyna i nawet w latach 1786-88 zastępował go w Londynie. Został teraz posłem bez formalnego tytułu.

Franciszek Bukaty, związany z polityką Wielkiego Sejmu, nie wydawał się odpowiednią osobą jako poseł, w nowych warunkach w Polsce. Wrócił w marcu 1794 roku do Warszawy, nie biorąc udziału w znanych wypadkach. Osiadł na wsi w Sierhiejewiczach, gdzie gromadził pamiątki, sztychy i doborową bibilotekę.

W marcu 1797 roku został wybrany delegatem obywatelstwa mińskiego. Wyjechał do Petersburga i zmarł w drodze powrotnej, 15 czerwca 1797 roku, przeżywszy zaledwie 50 lat.

Z wyjazdem jego z Londynu, zamknęła się księga polskiej wolnej dyplomacji w Wielkiej Brytanii. Została po nim tutaj garść dokumentów i listów i — portret w ambasadzie polskiej w Londynie.

Tadeusz Ziarski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Ku beatyfikacji Sługi Bożego Piusa IX. W auli dei Paramenti w Pałacu Watykańskim w dniu 28 czerwca został zakończony proces apostolski w sprawie cnót w stopniu heroicznym i cudów Sługi Bożego Piusa IX, którego pontyfikat był najdłuższym w dziejach Kościoła, trwającym od 16 czerwca 1846 do 7 lutego 1878, a więc prawie 32 lata. Biskup Pietro Canisio van Lierde, prezes trybunału, w przemówieniu podkreślił bogactwo pontyfikatu: w dziedzinie doktrynalnej i dyscyplinarnej ogłoszenie dwóch dogmatów: Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny i nieomylności Papieża, jako też ogłoszenie Syllabusu; w wewnętrznym konsolidowaniu Kościoła Wojującego wznowienie hierarchii kościelnej w Anglii i Holandii, zatwierdzenie nowych kongregacji i instytutów religijnych i zapoczątkowanie organizowania Akcji Katolickiej zawsze istniejącej wśród wiernych; wzrost misji w krajach pogańskich. Za pontyfikatu Piusa IX toczyła się „przedziwna walka" między złem a dobrem, ciemnościami a światłem, brudem a czystością, nienawiścią a miłością, walka, która w życiu Piusa IX przybrała takie proporcje, że jego cały pontyfikat stał się w swoim rzeczywistym kształcie krzyżem i zwycięstwem. „Consummatum est!" Z tymi dwoma słowami na ustach Pius IX oddał swą duszę Bogu.

My, Polacy, możemy czuć się dumni, że do chwały tego pontyfikatu dodalimy piórem biskupa Pelczara trzytomowe dzieło: „Pius IX i jego pontyfikat" i jednotomowe „Pius IX i Polska".

Kościół litewski w Kanadzie. W Toronto kardynał McGuigan, arcybiskup Toronto, poświęcił kościół dla nowej parafii Zmartwychwstania Pańskiego w Toronto, erygowanej przed 3 laty przez Stolicę Apostolską dla nowych imigrantów litewskich i powierzonej opiece duchownej braci mniejszych kustodii św. Kazimierza. Wzniesione budowle obejmują kościół, wielką salę na zebrania i sport, salę muzyczną i bar i kosztowały pół miliona dolarów. Członków parafia liczy 6 tysięcy, zamierzają oni wybudować obszerniejszy kościół i kolegium.

Kaplica-kostnica dla 300 zamordowanych księży. 18 czerwca 1946 został przed swoją plebanią zamordowany strzałami z pistoletu ks. Umberto Pessina. W czerwcu roku bieżącego przeniesiono jego śmiertelne szczątki do wielkiej kaplicy-kostnicy w San Martino di Correggio o 2 km od miejscowości, gdzie był proboszczem. Kaplica jest poświęcona pamięci 300 księży włoskich zamordowanych w czasie wojny i po niej bezpośrednio „jako ofiary apostolstwa prawdy i miłości przez tych, co przeczą istnieniu Boga, z szatańskiej nienawiści". Niektórych z nich ciała zostały spalone, a prochy ich rozrzucone, innych wrzucono w rumowiska, a jeszcze innych stratowane mogiły z bojaźni nie zostały dotychczas ujawnione. Ich ciała więc są nieobecne — stwierdził odprawiający Mszę św. wieczorną i przemawiający po Ewangelii arcybiskup Bolonii, kardynał Giacomo Lercaro — lecz dusze ich są tutaj wieczorem, z nami, którzy wspominamy ich ze czcią. Sądzimy, że nie tylko Kościół, ale cały naród włoski, każdy człowiek wolny jest ich dłużnikiem. Zginęli bowiem nie tylko za wolność Kościoła, ale za wolność wszystkich, ażeby te ziemie i ten naród wyzwolić spod jarzma ideologii ateistycznej i nieludzkiej... Krew zamordowanych domaga się dla świata przede wszystkim miłości! Nie nienawiść dokona sprawiedliwości, jak nigdy jej nie dokonała; nienawiść nie wprowadziłaby zmiany, lecz utrwaliłaby nieład, zwielokrotniłaby go i pogorszyła, zatrułaby aż do głębi, czyniąc losy bardziej twarde niż kiedykolwiek... Omnia vincit amor.

Kazanie swoje zakończył kardynał słowami: „Kapłani, którzyście polegli pod żelazem nienawiści, teraz obecni z nami wokoło ołtarza, wznieście czasze waszej krwi do tronu Boga w tej chwili, gdy Kościół wzniesie moimi rękoma Kielich Krwi Chrystusowej, i błagajcie dla tej udręczonej ziemi, dla Włoch, dla Kościoła świętego, dla całej ludzkości o wolność, sprawiedliwość, pokój; błagajcie dla dzieci Bożych, rozdzielonych trucizną egoizmu, o miłość! W liturgii na dzień dzisiejszy jest modlitwa: Spraw, prosimy, Panie, niechaj z Twego zrządzenia bieg wydarzeń dla nas się toczy spokojnie i Kościół Twój niechaj Ci służy w niezmąconej radości."

300 krzyży, na których wypisano imiona i daty śmierci zamordowanych księży, niosło 300 księży, pracujących na placówkach duszpasterskich zajmowanych kiedyś przez pomordowanych.

STANY ZJEDNOCZONE ZAPŁACĄ ZA SZKODĘ

Komisja senacka zatwierdziła projekt ustawy, uchwalonej już uprzednio w izbie niższej, na mocy której Stany Zjednoczone wypłacą bez mała milion dolarów Miastu Watykańskiemu za szkody, wyrządzone papieskiej letniej rezydencji w Castel Gandolfo w czasie wojny. Podczas dyskusji posłowie stwierdzili, że „rząd nasz ma moralny obowiązek naprawienia szkody i że jest to całkowicie zgodne z amerykańską tradycją równości i sprawiedliwości". Lotnictwo amerykańskie, podczas akcji przeciwko armii niemieckiej w Italii, przypadkowo zrzuciło bomby na rezydencję w Castel Gandolfo. Projekt ustawy przewiduje wypłacenie odszkodowania za uszkodzenia w wysokości 964.199 dolarów.

TEATR ANGIELSKI

„ROMEO I JULIA"

Sezon Old Vic przedłużył się w tym roku poza zwykły czasokres. Oto we wrześniu specjalny zespół wyjeżdża na turę do Kanady i Stanów Zjednoczonych z trzema sztukami. Sztuki te grane są obecnie przez miesiąc dla londyńskiej publiczności. Dwie — to wznowienia z zeszłego sezonu, które w swoim czasie omawiałem: **Makbet** (1) i **Ryszard II** (2). Trzecią jest nowa inscenizacja **Romea i Julii**, należąca do planu pięcioletniego i jako taka kwalifikująca się do rozważania na tym miejscu.

Któż z nas nie zna **Romea i Julii**?! Z tragedii Szekspira niewątpliwie jest ona najbardziej znana szerokim rzeszom publiczności — bardziej może nawet niż „trudny' **Hamlet.** Wielekroć tłumaczona, wystawiana, filmowana, najłatwiej widzów wzrusza swym romantycznym i sentymentalnym fatalizmem. I w kinie — na niedawnej rzeźnickiej wersji zdolnego włoskiego reżysera — i teraz na przedstawieniu w Old Vic uderzyła mnie ogromna przewaga młodych panienek wśród publiczności, no i spore jezioro wylanych przez nie łez. **Romeo i Julia** odbija od innych sztuk Szekspira, nie przez przypadek zresztą.

Romeo and Juliet (1595) jest najwcześniejszą tragedią Szekspira, stojącą samotnie w okresie, gdy Szekspir pisał zasadniczo jedynie sztuki historyczne i komedie. **Romeo i Julia** wyrosła właśnie z romantycznych komedii Szekspira: była tragicznym potraktowaniem tej samej tematyki i wątków, jakie stosował w komediach. Ale nie tylko z komediami tego okresu wiąże się ta pierwsza, „młodzieńcza" tragedia. Jest to dla Szekspira okres sonetów i z sonetami łączy tę sztukę nastrój, język, metaforyka. Z tych względów **Romeo i Julia** bardzo różni się od późniejszych tragedii. Język tej sztuki jest liryczny, przedmiotem jej jest miłość, a potraktowanie akcji i katastrofa oparta jest nie tyle na psychologicznym uzasadnieniu, co na mechanicznym splocie wydarzeń. Mamy więc incydent w miejsce konfliktu charakterów. Pod każdym względem niemal **Romeo i Julia** różni się diametralnie od np. **Hamleta,** czy **Otella** i stanowi zupełnie odrębną, całkiem udaną zresztą pozycję w twórczości poety.

Ale jeśli mówimy o podobieństwie do romantycznych komedii i do sonetów, to między innymi dotyczy to filozoficznego podkładu zawartego w takim właśnie mechanicznym ujęciu wydarzeń. O ile w późniejszych tragediach bohaterowie zmagają się z sobą w imię obiektywnie istniejących nadrzędnych wartości, według których ich postępowanie zawsze się układa, o ile w ostatnich sztukach — w **Burzy** i **Opowieści zimowej** — przeważy nawet chrześcijańska koncepcja Opatrzności, to **Romeo i Julia** jest sztuką światopoglądowo pogańską. Nie zmienią tego faktu zewnętrzne ozdóbki, jak to, że osoby dramatu żegnają się krzyżem, powołują się na Świętych, spełniają praktyki chrześcijańskie. W rzeczywistości ludzie są sami i rządzi nimi ślepy przypadek. Romeo i Julia — jedyne dzieci dwóch nienawidzących się rodów — zakochują się w sobie, a ojciec Wawrzyniec udziela im ślubu i pomaga im w najlepszej wierze, upatrując w ich związku możliwość pogodzenia zwaśnionych rodzin. Nie z jego winy, ale przez czysto mechaniczny splot wydarzeń, urastający do symbolu Fatum, wszystkie dobre zamiary obróciły się w niwecz i doprowadziły do samobójstwa kochanków z Werony. Może za dużo brał na siebie poczciwy księżyna, sam niejako czyniący się ramieniem Opatrzności, a okazujący się nieświadomym sługą Przypadku. Ale ogólne wrażenie, jakie zostaje — gdy się myśli nad wydźwiękiem sztuki — to bezsilność ludzi, stanowiących igraszkę samotnego świata. Mimo woli przypomina się pesymistyczny filozof Jaques z **Jak się wam podoba**(3), który widząc szczęśliwe rozwiązanie sytuacji — jako że to była komedia — sam jeden zdaje sobie sprawę z nietrwałości ludzkiego szczęścia. Ale jeśli nad wydźwiękiem **Romea i Julii** nie zastanawiać się specjalnie, uniknie się tych ponurych refleksji. Nad tragedią tą dominuje wzruszająca historia nieszczęśliwych kochanków i lepiej jest poddać się jej urokowi i ronić łzy sentymentalnego wzruszenia za przykładem pensjonarek, które tak licznie nawiedzają przedstawienia tej sztuki.

Old Vic zaprezentował **Romea i Julię** bardzo godnie, nie gorzej od słynnej inscenizacji sprzed trzech lat. W dużej mierze jest to zasługa reżysera. Nic dziwnego — był nim Robert Helpmann. W każdym sezonie Old Vic od kilku lat już reżyseruje on gościnnie po jednej sztuce, odnosząc zawsze duży sukces. Po **Burzy**(4) i **Jak się wam podoba,** które wyróżniały się w poprzednich miernych sezonach, dał nam **Romea i Julię.** Reżyseria Helpmanna była subtelna i delikatna, z wielką dbałością o poezję i o wartości muzyczne tekstu, jak i o ruchową płynność przedstawienia. Miałbym jeden tylko zarzut: skróty były stanowczo nadmierne. Niewątpliwie miano na myśli publiczność amerykańską, do której sztuka ta ma powędrować. Nie widzę jednak powodu, dlaczego ma się w Londynie grać Szekspira w całości, czy z niewielkimi skrótami, a po świecie obwozić tak bardzo obcięty tekst. Niektóre role bardzo ucierpiały na skrótach, zwłaszcza rolą o. Wawrzyńca, obcięta absolutnie do minimum. Reżyserowi dzielnie sekundował kompozytor Brian Easdale swą subtelną stylową muzyką, a zwłaszcza dekorator Loudon Sainthill, który zaprojektował bardzo ładne kostiumy i dekoracje. Te ostatnie wybijały się wspaniałym rozłożeniem perspektywy i wyglądały jakby były istotnie architektonicznymi arcydziełami mistrzów włoskiego renesansu. Pojedynki zaaranżowali pomysłowo i kompetentnie Bernard Hepton i John Greenwood.

Obsada aktorska była bardzo dobra na ogół. John Neville jako Romeo i Claire Bloom jako Julia (powtórzenie roli, którą grała tu trzy lata temu) stanowili niezapomnianą parę, dając jedne z najlepszych kreacji swej kariery. O obojgu pisałem już wielokrotnie. Mogę teraz stwierdzić, że talent ich — zresztą bardzo dostosowany właśnie do ról szekspirowskich — rozwija się nadal wspaniale. Po raz pierwszy właściwie widziałem na scenie idealną parę „kochanków z Werony", całkowicie przekonywujących i szczerych w swym romantyzmie, nie mówiąc już o rzadko spotykanych walorach wokalnych, jakie oboje posiadają. Świetny był Paul Rogers jako Merkucjo — jak można było przypuszczać — ta komediowo-heroiczna rola jest w sam raz dla niego. Jack Gwillim dzielnie starał się oddać istotę tak bardzo obciętej roli o. Wawrzyńca. Wynne Clark była przebojową mamką. Natomiast John Woodvine jako Tybalt i Ernest Hare jako Capulet wydali mi się nieco za słabi w wyrazie. Widziałem amatorów lepiej grających te role. Na ogół jednak gra była zrównoważona. Ostatnie wystawienie **Romea i Julii** w Old Vic stanowiło świetne zamknięcie ciekawego sezonu.

*

Tak więc zakończył się trzeci sezon — z zamierzonych pięciu, w ciągu których wystawiony będzie komplet 36 sztuk Szekspira. Do tej pory wystawiono 20 i wszystkie zostały omówione na łamach ŻYCIA. W sezonie, który właśnie dobiega końca, wyróżniają się zwłaszcza osiągnięcia aktorskie Johna Neville'a w **Juliuszu Cezarze**(5), **Troilusie i Kressydzie**(6) i w **Otellu**(7), oraz Paul Rogersa w **Juliuszu Cezarze, Wesołych kumoszkach z Windsoru** (8), **Opowieści zimowej**(9), **Troilusie i Kressydzie.** Ciekawymi pozycjami był również **Henryk V**(10) z udaną kreacją Richarda Burtona, oraz wspaniały **Otello,** w którym Burton i Neville wymieniali swoje role. Reżysersko wbiły się w pamięć gościnne inscenizacje Tyrone Guthrie (**Troilus i Kressyda**) oraz omówiona powyżej **Romeo i Julia** Helpmanna. Poziom teatru Old Vic w ciągu tego roku poprawił się znakomicie, zwłaszcza w drugiej połowie sezonu i z nowymi nadziejami oczekujemy na jesieni nowego sezonu z ciekawym repertuarem i zespołem, w skład którego będzie m. in. wchodził Sir Ralph Richardson.

Bolesław Taborski

(1) Patrz ŻYCIE nr 43/383 z 24.10.54.
(2) „ „ nr 8/400 z 20. 2. 55.
(3) „ „ nr 17/409 z 24.4.55.
(4) „ „ nr 21/361 z 23.5.54.
(5) „ „ nr 1/445 z 1. 1. 56.
(6) „ „ nr 24/468 z 10.6.56.
(7) „ „ nr 21/465 z 20.5.56.
(8) „ „ nr 1/445 z 1. 1. 56.
(9) „ „ nr 1/445 z 1. 1. 56.
(10) „ „ nr 4/448 z 22.1.56.

FILM

FESTIWAL FILMOWY W BERLINIE

W czasie od 22 czerwca do 3 lipca odbywał się VI międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie, w czasie którego wyświetlano kilkadziesiąt filmów z 34 państw. Rosja ani jakiekolwiek inne państwa bloku wschodniego nie brały udziału w festiwalu berlińskim.

Z okazji święta filmowego przybyło do Berlina ponad 200 dziennikarzy i recenzentów filmowych z całego świata. Obecni byli również przemysłowcy filmowi, reżyserzy i artyści. Szczególne zainteresowanie tłumu berlińczyków i tysięcy Niemców, przybyłych z tej okazji z zachodnich i wschodnich Niemiec, budzą znani artyści filmowi, przede wszystkim zagraniczni. Największą popularnością cieszą się Gary Cooper i modna gwiazda Silvana Pampanini.

Na uroczystość otwarcia festiwalu przybył z Bonn minister spraw wewnętrznych Schroeder, który w czasie aktu otwarcia rozdzielił tegoroczne nagrody Republiki Federalnej za najlepszy film niemiecki. Pierwszą nagrodę otrzymał m. in. film „Himmel ohne Sterne" (Niebo bez gwiazd), mający za tło okupację wschodnich Niemiec przez wojska rosyjskie i przedstawiający dramatyczne przejście uciekinierów niemieckich na granicy demarkacyjnej. Film ten nie został dopuszczony do wyświetlania w czasie tegorocznego festiwalu w Cannes z powodu swych akcentów antysowieckich.

Znamienne było także wyróżnienie niemieckiego filmu pt. „20 lipca", przedstawiającego historię zamachu na Hitlera w roku 1944. Film ten, o podłożu zdecydowanie antynazistowskim, uznany został przez Republikę Federalną jako obraz, który przyczynił się w sposób szczególny do „budzenia państwowej świadomości obywatelskiej" (Weckung des staatlichen bürgerlichen Bewusstseins). Nakręciła go berlińska wytwórnia CCC, której właścicielem jest Żyd polski Braun, pochodzący z Łodzi.

PUBLIUS VERGILIUS MARO

Z BUKOLIK

(BUCOLICON ECLOGA I)

Melibeusz:

W cieniu buku rosłego sobie Tityrze spoczywasz
Grając leśne melodie na delikatnej fujarce.
My rzucamy ojczyste słodkie granice i niwy,
My uchodzim z ojczyzny, ty zaś Tityrze w spokoju
Uczysz lasy nadobnej brzmieć Amarylli imieniem.

Tityrus:

Bóg to, o Melibeju, dał nam to szczęście ogromne!
Zawsze on będzie mi bogiem, jego też ołtarz krwią zbroczy
Często jagnię niewinne naszej odjęte owczarni.
On mym wołom pozwolił błądzić — jak widzisz — samemu
Grać na wiejskiej piszczałce to, co ja lubię, nie bronił.

Melibeusz:

Nie zazdroszczę, przeciwnie: raczej się cieszę od czasu,
Jak wzburzono te wioski. Oto schorzały przed sobą
Pędzę kozy, z trudnością tę, Tityrusie, prowadzę.
Tam wśród gęstej leszczyny na świat wydała bliźnięta,
Tam na nagiej je skale, trzody nadzieję, rzuciła.
Dęby z niebios rażone często, pamiętam, wróżyły
Nam nieszczęścia, gdyby, ach umysł nasz nie był szalony.
Powiedz jednak Tityrze przecież nam kto to ten bóg twój.

Tityrus:

Ach, mniemałem ja głupi, że owe miasto dalekie,
Które Rzymem się zowie, będzie podobne do tego
Dokąd często zwykliśmy na targ prowadzić jagnięta.
Wiem: do psów są szczenięta, koźki do kóz zaś podobne:
Tak-em zwykł porównywać rzeczy ogromne z małymi.
Lecz zaprawdę, to miasto głowę wyniosło wysoko
Nad innymi miastami, jak nad łoziną cyprysy.

Melibeusz:

Jakiż ważny to powód skłonił cię jechać do Rzymu?

Tityrus:

Chociaż na mnie gnuśnego wolność nie wcześnie spojrzała,
Kiedy biała już broda pod nożycami spadała
Jednak do mnie przybyła, panią już serca mojego
Była Amaryllida a Galatea rzuciła.
Bowiem przyznam, że kiedy ja Galateę kochałem
Ani dbałem o wolność, ni się troszczyłem o grosze.
Chociaż wiele ofiarnych zwierząt dawałem z zagrody
I tłoczyłem ser tłusty dla niewdzięcznego, ach, miasta,
Nigdy żadnych pieniędzy z niego do domu nie niosłem.

Melibeusz:

Bogów czemu wzywałaś, smutna ty Amaryllido,
Mnie dziwiło, dlaczego jabłka na drzewach zostały.
Tityr był tak daleko. Ciebie, Tityrze, wzywały
Same sosny i źródła oraz te oto krzewiny.

Tityrus:

Cóż mi czynić wypadło? Wyjść sam z niewoli nie mogłem,
Ani poznać gdzie indziej bogów życzliwych i tego
Tam młodzieńca poznałem, o Melibeju, któremu
Dym ślą moje ołtarze poprzez dwanaście dni w roku.
On mi pierwszy odpowiedź dał proszącemu: jak przedtem
Paście chłopcy swe woły, także buhaje hodujcie.

Melibeusz:

O szczęśliwy ty starcze, pola te twymi zostaną
Dość też wielkie dla ciebie i choć kamieni są pełne
A pastwisko bagiennym już porośnięte sitowiem,
Pasza matek ciężarnych kusić nie będzie niesmaczna,
Ni im zaszkodzi zaraza trzody sąsiadów trzebiąca.
O szczęśliwy ty starcze, pośród znajomych strumieni
I tych świętych źródełek chłodu zażyjesz tu w cieniu.
Tu przy miedzy sąsiada, w bazie wierzbowe obfity
(Pszczół hyblejskich ponęta) żywopłot będzie ci radził
Często brzękiem pszczół skrzętnych drzemkę w cienistym [zaciszu.

Tu pod skałą wysoką śpiewał ci będzie ogrodnik
Aż po nieba lazury; jednak gołębie chrapliwe
Ni turkawka gruchania z wiązu korony nie przerwą.

Tityrus:

Prędzej rącze jelenie będą się pasły na głębiach,
Fala zaś ryby bezbronne w brzegi wyrzuci piaszczyste,
Prędzej Part się napije wody z Araru, a z Tygru
Zaś Germanie pić będą, kraje obydwa przebywszy,
Niźli obraz owego z wdzięcznej uleci pamięci.

Melibeusz:

My pójdziemy stąd: jedni aż do spragnionych Afrykan,
Część do Scytii i białych nurtów rwącego Oaksu,
Część zaś aż do Brytanii całkiem odciętej od świata.
Ach, czyż kiedyś w przyszłości ujrzę ojczyzny granice
I pokryty darniną dach mej ubogiej zagrody
I nieliczne zagony marzeń to moje królestwo?
Zaliż żołnierz bezbożny pola tak żyzne posiądzie,
Plony te barbarzyńca? Oto do czego niezgoda
Biednych zwiodła mieszkańców: tym swe zasialiśmy pola.
Grusze szczep, Melibeju, winną latorośl sadź w rzędach!
Idźcie kozy me dalej, trzódko ty niegdyś szczęśliwa!
Już was w grocie zielonej z dala, leżący, nie ujrzę,
Jak zwisacie ze skały, krzami gęstymi porosłej,
Nie zaśpiewam piosenek, już nie będziecie skubały
Liści wierzby w mych oczach, ni koniczyny pachnącej.

Tityrus:

Mógłbyś jednak tu ze mną chociaż noc tę przepędzić
Na zielonym listowiu; mam tutaj jabłka dojrzałe,
Są mięciutkie kasztany, także i sera dostatek.
Patrz! już z dala się wznoszą dymy zacisznych chatynek,
Z gór zaś coraz to dłuższe cienie spływają w doliny.

przełożył FLORIAN ŚMIEJA

LISTY Z NIEMIEC

ECHA WYPADKÓW POZNAŃSKICH

W PRASIE ZACHODNIO NIEMIECKIEJ

Od blisko czterdziestu lat czytam mniej lub bardziej systematycznie prasę niemiecką. Nie przypominam sobie jednak wypadku, w którym by „sprawa polska" miała tak dobrą prasę i w którym sprawom polskim nadano by tak wielki rozgłos, jak w dniach 29 i 30 czerwca, bezpośrednio po wypadkach poznańskich. Tytuły główne wszystkich dzienników berlińskich i większości pism zachodnio-niemieckich dotyczyły walk w Poznaniu. Amerykańsko-niemieckie radio w Berlinie „Rias" podawało już w dniu 28 czerwca wieczorem i przez całą niemal noc coraz to nowe szczegóły i reportaże, oparte przeważnie na relacjach licznych Niemców i cudzoziemców, których powstanie zastało w Poznaniu i którzy — po opuszczeniu miasta — w ciągu czwartku tegoż dnia wieczorem lub w ciągu nocy dotarli do Berlina. Obszerne relacje i nader przychylne komentarze dawało również radio „Sender Freies Berlin". Telewizja tej stacji nadała w dniu 29 wieczorem rozmowę na temat powstania, prowadzoną przed obiektywem przez kierownika działu wschodnio-europejskiego tejże stacji, znanego w Niemczech eksperta dla spraw wschodnich E. Saltera z korespondentem szwajcarskiego pisma H. Korabem, pochodzącym z Polski i poruszającym bardzo często także na łamach pism niemieckich, w formie zawsze dla nas życzliwej, różne aspekty polityki polskiej. Dowiaduję się, że nawet w szkołach średnich nauczyciele dyskutowali z uczniami wyższych klas wypadki poznańskie, zwracając uwagę na „unerschütterbaren Freiheitsdrang der Polen" (niezłomny pęd Polaków do wolności). Jako wydarzenie o szczególnej wymowie politycznej, notowano w tutejszych kołach dziennikarskich depeszę, wysłaną przez zarząd główny partii socjaldemokratycznej do rządu warszawskiego, domagającą się uwzględnienia postulatów demonstrantów.

W piątek, 29 czerwca, odbył się od dawna już planowany obiad, wydany przez Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej dla brytyjskiego ambasadora w Bonn, którym jest Sir Frederic Hoyar Millar. Zebrało się około 200 dziennikarzy z całego świata. Jedynym tematem rozmów i dyskusji w czasie przyjęcia były tragiczne wydarzenia poznańskie.

Poznań był w ostatnich dniach czerwca bezspornie na ustach wszystkich berlińczyków. Mówiono i pisano nie tylko o przebiegu wypadków, ale i o wrażeniach biernych widzów, o podłożu ekonomicznym i politycznym wydarzeń. Mówiono po raz pierwszy od niepamiętnych czasów o Polsce ciepło i życzliwie.

Nastroje propolskie wywołane zostały niewątpliwe świadomością wspólnej niedoli, ale głównym motywem były nierealne zresztą nadzieje, że „powstanie" poznańskie pociągnąć może za sobą podobny zryw na obszarze wschodnich Niemiec, że zbliżyć może Niemcy do upragnionego zjednoczenia. Podkreśla się tutaj powszechnie analogię wypadków poznańskich z „powstaniem 17 czerwca" na obszarze Niemieckiej Demokratycznej Republiki. Z pewnością tło wypadków i przyczyny ich wybuchu mają dużo cech wspólnych. Ale sowiecka część Niemiec miała bezpośrednie oparcie o wolną część Niemiec. Dziesiątki tysięcy osób, zagrożonych w wyniku powstania wschodnio-niemieckiego mogło bez większych trudności uciekać na zachód i na zachodzie tym znalazło własne państwo, własnych rodaków, a także pracę i nową egzystencję w środowisku niemieckim. Ofiary wypadków poznańskich są zaś zdane obecnie na łaskę i niełaskę zwycięzców.

◆

W dniu 29 czerwca odbywała się w parlamencie w Bonn od dawna zapowiedziana dyskusja nad exposé ministra spraw zagranicznych von Brentano. Wydawałoby się, że w obliczu wydarzeń w Poznaniu rewizjoniści niemieccy powstrzymają się przynajmniej w tym dniu od wystąpień w sprawie granicy polsko-niemieckiej. Niestety, nie powstrzymali się. Wystąpienia były tylko może bardziej umiarkowane, nie wnosząc zresztą niczego nowego do toczącej się na ten temat od dawna dyskusji.

Cienie przeszłości

OTTO STRASSER REDIVIVUS

Otto Strasser należy do pierwszych narodowych socjalistów w latach dwudziestych. Wespół z bratem swoim Grzegorzem, zlikwidowanym w czasie putschu Röhmowskiego w roku 1934, przystąpił w roku 1925 do ówczesnej NSDAP (narodowo-socjalistyczna niemiecka partia robotników) Hitlera, z ramienia której wydawał bojowe pisma nazistowskie, m. in. osławioną „Schwarze Front". Wewnętrzne nieporozumienia partyjne skłoniły go już w roku 1930 do opuszczenia szeregów hitlerowskich. Otto Strasser emigrował najpierw do Wiednia, następnie do Pragi, wreszcie do Kanady, gdzie przebywał do niedawna.

Po wojnie usiłował wrócić do Niemiec, natrafił jednak na zakaz alianckich władz okupacyjnych a następnie i rządu w Bonn. Dopiero proces, który wygrał przed sądami niemieckimi w sprawie swego obywatelstwa niemieckiego, otworzył mu ponownie drzwi do Niemieckiej Republiki Federalnej.

Strasser zerwał z Hitlerem z powodu tarć wewnętrznych i niezaspokojonych ambicji osobistych. Pod względem programowym był jednak wiernym wyznawcą zasad hitlerowskich i zasadom tym hołduje nadal. W Miltenberg odbył się w czerwcu bież. roku zjazd założycieli nowej partii strasserowskiej pod nazwą Deutsche Soziale Union, w czasie którego „wódz" Strasser przedstawił swój program polityczny, różniący się od dawnej NSDAP chyba tylko tym, że obecnie — w odróżnieniu od hitlerowskiej polityki antybolszewickiej — domaga się porozumienia z Moskwą i natychmiastowych rozmów z komunistycznymi władcami wschodniego Berlina. Strasser swój powrót na scenę polityczną Niemiec zainaugurował nowym sloganem swojej partii: „Nie zejdziemy ze sceny! My dopiero na nią wkraczamy!" (Wir werden nicht abtreten! Wir treten gerade erst an). Pierwsze zebranie zakończyło się ogólną bijatyką, która powstała z chwilą, kiedy Strasser zaczął przemawiać.

W 11 LAT PO KAPITULACJI

Znany miesięcznik E. Kogona we Frankfurcie „Frankfurter Hefte" zawiera m. in. opis następującego zdarzenia, opisanego przez Reginę Bohne.

Starszy gimnazjalista niemiecki prosi sąsiadów swoich o wypożyczenie mu interesującej książki, ponieważ zapas „Comic Stripes" się nieoczekiwanie wyczerpał. W pokaźnej bibliotece swego sąsiada nie może znaleźć niczego interesującego, wobec czego właściciel biblioteki usiłuje go zainteresować książkami i wspomnieniami o niemieckich obozach koncentracyjnych. Ten temat jest całkiem obcy dla 16-letniego gimnazjalisty i uczeń z chęcią zaopatruje się w kilka tomów tej dokumentacyjnej lektury.

Po dwóch dniach wraca z książkami i z podziękowaniem je oddaje. Właściciel wyraża zdziwienie z powodu tak szybkiego pochłonięcia kilkusetstronicowej lektury. Z pewnym zażenowaniem chłopiec odpowiada, że książek w ogóle nie czytał. Dlaczego? — ponieważ ojciec mu zakazał.

— Mój ojciec nie życzy sobie, bym takie książki czytał — mówi synalek z widocznym zakłopotaniem. — To wszystko jest gruba przesada, mówi mój ojciec, a obrazy są także sfałszowane. To w ogóle nie jest lektura dla chłopca, który w roku 1945 w ogóle jeszcze nie chodził do szkoły. Takich książek należałoby dziś w ogóle zakazać, gdyż zapowietrzają tylko atmosferę! (weil sie nur die Luft verpesten!).

NIEMIECKI INSTYTUT W STUTTGARCIE

Przed wojną istniał w Stuttgarcie znany „Institut für das Deutschtum im Auslande", zajmujący się sprawami niemczyzny poza granicami Rzeszy. Instytut ten zapisał się niesławną pamięcią w historii niemieckiej polityki mniejszościowej, nadużywając jej nader często dla działalności, nie mającej nic wspólnego z ochroną praw mniejszościowych. Instytut ten po okupacji Niemiec przez władze alianckie — został zamknięty.

W roku 1951 nastąpiła jednak reorganizacja instytutu, który przybrał obecnie nazwę „Deutsches Institut für Auslandsbeziehungen" i spełniać miał w przyszłości rolę organizatora kontaktów kulturalnych pomiędzy Niemcami a krajami zagranicznymi. Instytut zreorganizowany zajmuje się w szczególności urządzaniem niemieckich imprez kulturalnych za granicą, organizowaniem katedr języka niemieckiego i literatury niemieckiej na wyższych uczelniach zagranicznych oraz wymianą studentów niemieckich i zagranicznych.

Pokaźna biblioteka przedwojennego instytutu, zasekwestrowana przez władze amerykańskie po zajęciu Stuttgartu, została przekształconemu instytutowi zwrócona. Jak wynika ze sprawozdania, ogłoszonego z okazji pięcioletniej działalności nowego instytutu, biblioteka instytucji tej liczy ponad 97 tysięcy tomów. Jej ważnym czynnikiem składowym jest bogate archiwum wycinków prasowych, wzorowo skatalogowanych. Czytelnia instytutu zaopatrzona jest w 184 dzienniki i 1.052 czasopisma niemieckie i zagraniczne.

Instytut mieści się w tzw. „Haus des Deutschtums" w centrum Stuttgartu, tj. tam, gdzie umieszczony był przedwojenny instytut niemczyzny zagranicznej. W tym samym gmachu ma też siedzibę swoją znana „Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde", będąca centralną komórką koordynacji wszystkich niemieckich instytucji, zajmujących się sprawami wschodnio-europejskimi.

PARLAMENT W BONN SUBWENCJONUJE BADANIA

Niemiecka agencja prasowa (DPA) donosi, że komisja budżetowa Bundestagu uchwaliła subwencję dla „Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde" w Stuttgarcie. Subwencja przeznaczona jest na specjalne prace, związane z nowymi zadaniami, powstałymi w związku z podjęciem stosunków dyplomatycznych z Rosją. Towarzystwo stuttgarckie jest centralną instytucją, skupiającą wszystkich niemieckich ekspertów od spraw rosyjskich i krajów Wschodniej Europy i ma za zadanie koordynowanie prac wszystkich instytutów wschodnio-europejskich (w Monachium, Berlinie, Marburgu, Getyndze, Tübingen itp.) oraz innych instytucji, zajmujących się podobnymi pracami. Również i „Südosteuropäische Gesellschaft" otrzymała podobną subwencję od parlamentu w Bonn.

S. C.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 15 lipca 1956.

Plany reżymowej „Polonii"

Założone przed ośmiu miesiącami przez reżym komunistyczny „Towarzystwo łączności z wychodźstwem „Polonia" przygotowuje się do rozszerzenia swej działalności, której zadaniem jest uzyskanie wpływu na polskie ośrodki emigracyjne na Zachodzie, oraz organizowanie „repatriacji" polskich emigrantów do Kraju.

W dniu 14 czerwca br. odbyło się w Warszawie walne zebranie tego towarzystwa. Celem zebrania była ocena działalności dotychczasowej, oraz nakreślenie planów zwiększonej działalności na przyszłość. Na zebranie zwołano nie tylko członków towarzystwa, ale również przedstawicieli różnych biur reżymowych, oraz tzw. „przedstawicieli emigracji", to znaczy tych kilka trochę wybitniejszych osób, które udało się reżymowi ściągnąć do Kraju, m. in. H. Hankego.

Przewodniczył prezes towarzystwa, prof. Stanisław Kulczycki, a sprawozdanie składał sekretarz, Szczepan Stec. Sprawozdanie miało charakter propagandowy. Sekretarz stwierdził, że już pierwszy okres istnienia towarzystwa udowodnić miał, iż emigranci polscy odnieśli się do inicjatywy reżymu bardzo pozytywnie. Jest to, oczywiście, pusta przechwałka i frazes propagandowy.

Na dokładniejszą uwagę zasługuje plan na przyszłość. Według zapowiedzi sekretarza, oraz wygłoszonych referatów, Towarzystwo łączności z wychodźstwem „Polonia" planuje rozwinięcie w najbliższej przyszłości następujących imprez:

Otoczenie opieką szkolnictwa polskiego na emigracji. Ta opieka polegać ma na tym, iż placówki reżymowe w krajach uchodźczych będą usiłowały przejąć już istniejące szkoły, lub zakładać nowe, wyposażając je w znaczne dotacje finansowe.

Tworzenie zespołów sportowych na uchodźstwie. Te same zagraniczne placówki reżymu będą dążyły do rozbudowy wśród uchodźców różnych gałęzi sportu. Mają być one subwencjonowane, aby poprzez wyzyskanie inklinacji sportowych poszczególnych środowisk emigracyjnych uzyskać na nie wpływy polityczne.

Pomoc w organizowaniu wycieczek do Polski, oraz przyjazdów indywidualnych. Akcja ta już jest rozpoczęta, ale ma być znacznie rozszerzona. Reżymowi chodzi o to, aby możliwie jak największy napływ Polaków zza granicy przyjeżdżał do Polski w wycieczkach grupowych pod pozorem pielgrzymek religijnych i odwiedzania „starego kraju". Dopuszczona ma być również pewna ilość przyjazdów indywidualnych.

Urządzenie zjazdu emigracyjnego. W planach Towarzystwa łączności z uchodźstwem „Polonia" leży zorganizowanie wielkiego zjazdu Polaków zamieszkałych za granicą pod pozorem konieczności rozpatrzenia wspólnych spraw uchodźstwa, a w rzeczywistości w celu tworzenia organizacji terenowych w poszczególnych krajach osiedlenia, które by były zależne od reżymu komunistycznego w Polsce.

Zwiększenie ilości wysyłanych dla wychodźstwa polskich książek. Już w ubiegłych ośmiu miesiącach do poszczególnych ośrodków polskiej emigracji reżym komunistyczny wysyłał masowo książki wydawane w Kraju. Znajdowały się wśród nich również książki, będące propagandą komunistyczną, oraz opracowania historyczne i geograficzne, które propagowały marksistowską interpretację historii polskiej oraz przedstawiały obecne granice Polski jako nieodwracalny stan zasięgu państwa polskiego.

Podjęcie pracy nad wydawaniem podręczników dla szkół polskich za granicą. Towarzystwo łączności z wychodźstwem „Polonia" planuje opracowanie i wydanie znacznej ilości podręczników szkolnych, które mają być przesłane do emigracyjnych ośrodków polskich bezpłatnie i w wielkiej ilości. Rozwijając tę działalność reżym ma trzy cele na uwadze: popularyzowanie wśród dzieci i młodzieży emigracyjnej systemu i doktryny komunistycznej, narzucanie dzieciom polskich emigrantów marksistowskiej wersji dziejów ojczystych, oraz wpajanie w dzieci przekonania, iż polskie ziemie wschodnie są przez Polskę utracone na zawsze.

Jak widać, choćby tylko z powyżej wyliczonych celów, komunistyczne towarzystwo „Polonia" robi przygotowania do osaczenia polskiego uchodźstwa równocześnie z kilku stron. Atak pójdzie przede wszystkim na młodzież, ale odpowiednią opieką ma być otoczone również i społeczeństwo starsze. (IC)

BEZ ZASTANOWIENIA

W ukazujących się w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" felietonach Mariana Hemara pt. „Kabinet z Ameryki", w odcinku 10 (w nr. 142 z 15 czerwca 1956) znalazł się taki ustęp:

„A niby jakim prawem zestawiać amerykańskie komiksy z Żeromskim? Przecież u nas nie Żeromski miał największe nakłady, tylko Kamil Norden i Mniszkówna, nasze filmy też były gangsterskie, tylko że marne, „Tajny Detektyw" i „Dzwonek Niepokalanieckii" były więcej niż wszystkie pisma razem, a gdyby powiedzieć że nasza kultura to była dzicz i prymityw, słusznie wzruszylibyśmy pięścią, w najlepszym razie ramionami."

Po przeczytaniu tego zdania, wydrukowanego w polskim piśmie w czerwcu, polskiego Roku Maryjnego 1956/57, trzeba się mocno opanować, aby wzruszyć ramionami, chociaż to nie one świerzbią.

„Dziennik Polski" czytają nie tylko ci, którzy dobrze pamiętają czym był „Tajny Dedektyw" (tak się bowiem to pismo nazywało), a czym zestawione z nim pismo katolickie, dlatego warto przypomnieć o co chodzi w tym nieoczekiwanym zestawieniu i jeszcze mniej oczekiwanych wnioskach o naszej kulturze.

„Tajny Dedektyw" był jednym z najbardziej haniebnych czasopism, jakie kiedykolwiek w naszym kraju ukazało. Apelował on do najniższych instynktów swych czytelników, podając najbardziej odrażające szczegóły popełnianych zbrodni wraz z fotografiami. Wobec stanowczej postawy, jaką w sprawie tego smutnego zjawiska zajął Episkopat Polski, pismo zostało zwinięte.

A co znaczy ów „Dzwonek Niepokalanieckii"?

„Dzwonkiem" nazywało się niejedno małe pismo prowincjalne, i nie u nas, przeważnie, ale wszędzie w Ameryce w połowie ub. wieku. Miejscowości o nazwie „Niepokalanów" w Polsce nigdy nie było, był natomiast Niepokalanów, założony przez pewnego franciszkanina, ojca Maksymiliana Kolbego, tego samego, który kiedyś dawniej założył „Milicję Niepokalanej" i przedtem do niej pierwszy organ prasowy, miesięcznik pn. „Rycerz Niepokalanej". Wszystkie te nazwy łączą się ze słowem Niepokalana, o którym wiadomo nawet ludziom słabo z religią katolicką związanym, że jest mianem Matki Bożej. Bo ojciec Kolbe — to wielki apostoł kultu Najświętszej Maryi Panny, który pragnął dla Niej podbić świat najbardziej nowoczesnymi środkami apostolstwa, jak prasa, radio itd. Zaniósł on ten kult Niepokalanej aż do Japonii, gdzie założył po dziś dzień istniejący Niepokalanów japoński i japońskiego „Rycerza Niepokalanej" — „Seibo no Kishi".

Pamiętali też o nim japońscy katolicy, bo gdy oddał życie, ratując ojca rodziny, towarzysza niedoli w Oświęcimiu, wnieśli do Stolicy Apostolskiej prośbę o beatyfikację o. Maksymiliana. Widocznie nie najgorszym apostołem przykładu był ów ojciec Kolbe i nie był też tak kompromitujący ów „prymityw", który zdaniem M. Hemara w swym piśmie głosił.

„Rycerz Niepokalanej" miał rzeczywiście ponad milion egzemplarzy nakładu; był wysyłany ludziom tylko za dowolne ofiary, a jako „własność Niepokalanej" był, jak go nazywał ojciec Kolbe, nie podlegał ani kalkulacji kupieckiej ani nie przyjmował ogłoszeń, pomimo bardzo ponętnych ofert. Może zanotujmy M. Hemara, jeżeli przypomnimy, że czytała go również inteligencja polska, że po wojnie pisywali doń profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, dopóki nie zostało skonfiskowano w Ludowej Republice.

P. Hemar nie chce wydawać lekkomyślnych sądów o kulturze w Ameryce i pisze: „Ja o tym naprawdę nie wiem". Szkoda, że tej samej metody nie zastosował wobec sprawy, która widocznie go nie obchodzi, a o której istnieje książka, napisana przez Marię Winowską. Książka ta, która w wydaniu francuskim pt. „Le Fou De Notre Dame" doczekała się już kilku nakładów, ukazała się w kilku innych językach i nie na ostatku także i po polsku. Za tę pracę dostała autorka „Prix Daguet" Akademii Francuskiej.

Trudno nie postawić pytania, co mogło skłonić Mariana, tak właśnie M a r i a n a Hemara, którego polskie, patriotyczne stanowisko zawsze budziło uznanie, do tak jaskrawego nadużycia kredytu, jaki w naszym społeczeństwie emigracyjnym posiada? I równie trudno nie wyrazić zdziwienia, że „Dziennik Polski" mógł zamieścić ten fragment tak głęboko raniący uczucia polskich katolików.

Sprawa ta nie powinna pozostać bez echa i bez dania satysfakcji!

WSPOMNIENIE O Ś.P. RAJNOLDZIE PRZEŹDZIECKIM

W ciągu roku 1955 i bieżącego uchodźcza społeczność polska poniosła dotkliwe straty przez odejście z tego świata wielu wybitnych osobistości, które do życia duchowego i kulturalnego polskiego i do nauki polskiej wniosły cenne i trwałe wartości. Pośród nich wspomnieć tu pragniemy o s. p. ks. Rajnoldzie Przeździeckim, dyplomacie i historyku, który przez całe swe życie był czynny na polu stosunków Polski ze Stolicą Apostolską.

Urodzony w 1884 roku, s. p. Rajnold Przeździecki, pochodzi z rodziny, która w ciągu wieków miała wybitny udział w życiu politycznym Kraju i poważne zasługi dla kultury polskiej. Od młodości pociągały go studia historyczne. Materialnie niezależny, rozporządzający bogatymi archiwami i zbiorami rodzinnymi oraz wspaniałą biblioteką, poświęcił się badaniom historii dyplomacji w dawnej Rzeczypospolitej. Odrodzenie państwowości polskiej w 1918 roku wywarło decydujący wpływ zarówno na kierunek jego działalności publicznej, jak i na ściślejsze określenie zainteresowań naukowych i celu prac. Gdy bowiem powstaje w roku 1918 polskie ministerstwo spraw zagranicznych, ś. p. Rajnold Przeździecki rozpoczyna natychmiast współpracę, początkowo ochotniczą z departamentem protokułu dyplomatycznego, na czele którego stał jego brat Stefan Przeździecki, późniejszy ambasador Rzeczypospolitej w Rzymie. Przez całe lata Stefan i Rajnold Przeździeccy byli, rzec można, uosobieniem polskiego protokułu dyplomatycznego, którego rola w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości była ogromnie ważna dla służby dyplomatycznej, nie mającej oparcia w ciągłości doswiadczeń i tradycji.

Bracia Przeździeccy nie tylko wypracowywali podstawy nowej techniki protokularnej i formy korespondencji dyplomatycznej, ale byli bardzo czynnymi pośrednikami pomiędzy ministerstwem spraw zagranicznych a korpusem dyplomatycznym, akredytowanym w Warszawie, a to tym bardziej, że dyrektor protokułu przez długi czas pełnił również funkcje szefa gabinetu ministra spraw zagranicznych. W lipcu 1921 roku ś. p. Rajnold Przeździecki zostaje mianowany attaché honorowym w ministerstwie spraw zagranicznych, a 1 kwietnia 1928 roku zostaje mianowany radcą ministerialnym i zastępcą dyrektora protokułu. Przez wrodzony takt i dystynkcję, uprzejmość i znajomoć świata, staje się on jednym z najlepszych łączników z dyplomacją obcą. Będąc szczerym miłośnikiem kultury polskiej i znakomitym znawcą zabytków sztuki narodowej, a w szczególności znawcą historii artystycznej miast i rezydencji polskich, ś. p. Rajnold Przeździecki przyczynił się też wydatnie do wzmożenia zainteresowania dyplomatów obcych życiem kulturalnym polskim i twórczością polską w przeszłości i w Polsce bieżącej. W ten sposób nawiązywały się nici cennych sympatii pośród przedstawicieli obcych, dla których nieraz, gdy obejmowali swe stanowiska, Polska, nieobecna przez stulecia na mapie Europy, była wielką niewiadomą.

Był też ś. p. Rajnold Przeździecki świetnym towarzyszem i doradcą dla wszystkich wybitnych cudzoziemców, odwiedzających Polskę.

Równolegle dojrzewało jego dzieło historyka. W 1934 roku wydany został w Paryżu (w języku francuskim) pierwszy tom historii przedstawicielstw dyplomatycznych dawnej Rzeczypospolitej, pt. „Diplomacie et Protocole a la Cour de Pologne". Tom ten zawierał szczegółowo opracowaną historię dyplomatyczno - protokularną nuncjuszów papieskich, ambasadorów francuskich i przedstawicieli pruskich. Drugi tom tego dzieła o misjach cesarskich, hiszpańskich, moskiewskich i angielskich — ukazał się w 1937 roku. W tymże roku w Encyklopedii Nauk Politycznych pojawia się krótkie, lecz niezmiernie interesujące studium o „Dyplomacji dawnej Rzeczypospolitej". W tym samym czasie zostaje wydany piękny tom o Warszawie w języku francuskim pt. „Varsovie", bogato ilustrowany, stanowiący nadzwyczaj wartościowy przewodnik dla cudzoziemców, w którym zostały zebrane informacje o zabytkach architektury i sztuki naszej stolicy. W 1937 roku przychodzi z kolei również piękna książka o Wilnie, opracowana z wielkim pietyzmem i zawierająca dużo materiału ilustracyjnego zebranego nie tylko w kolekcjach publicznych, lecz i w mało dostępnych kolekcjach prywatnych.

Wybuch drugiej wojny światowej, okupacja Kraju, los uchodźczy — to wszystko przerwało bieg prac historycznych ś. p. R. Przeździeckiego. Jednakże jeszcze w Szwecji pracuje on w bibliotekach i archiwach tak bogatych w materiały polskie. Przygotowuje też nowe opracowanie o misjach angielskich w Polsce, które w języku angielskim ukazało się w 1953 roku w Londynie pt. „Diplomatic Ventures and Adventures, some experiences of British Envoys at the Court of Poland".

Wszystkie te prace ś. p. R. Przeździeckiego — dla tych, którzy zajmują się techniką i metodami dyplomacji — stanowią cenne źródło, zawierając także wiele materiałów dla studiów życia i obyczajów w dawnej Rzeczypospolitej. Pisane przeważnie po francusku i po angielsku, dają możność czytelnikom cudzoziemskim obcować z wspaniałością i wielkością dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, które tak głęboko odczuwał i miłował autor.

W okresie dwudziestolecia niepodległości ś. p. R. Przeździecki rozwijał wytrwale owocną działalność jako szambelan papieski i kawaler maltański, oddany syn Kościoła. Starał się w czasie częstych pobytów w Rzymie, związanych ze służbą na dworze papieskim, zaznajamiać koła watykańskie i sfery katolickie innych krajów, z zagadnieniami dotyczącymi Polski i pogłębiać wzajemne zrozumienie i współpracę między czynnikami politycznymi polskimi a przedstawicielami katolickiego Rzymu.

Ś. p. R. Przeździeckiego cechowała wielka skromność i całkowita bezinteresowność. Nie ubiegał się nigdy o zaszczyty, wystarczała mu świadomość, że czyni coś pożytecznego dla Kościoła, dla społeczeństwa i Kraju i że przekaże potomności w swych książkach osiągnięcia wnikliwych badań i niestrudzonej pracy całego życia. Ci, którzy go znali, wspominać o nim będą zawsze ze szczerym szacunkiem, uznaniem i serdecznym wzruszeniem.

F. Frankowski

WIELKA PIELGRZYMKA DO AYLESFORD

Polska Misja Katolicka w Anglii i Walii, w oparciu o duszpasterstwa Londynu i południowej Anglii, organizuje w niedzielę 26 sierpnia 1956 roku w dniu odnowienia ślubów Narodu Polskiego na Jasnej Górze, wielką pielgrzymkę Maryjną do siedziby oo. karmelitów w Aylesford (Kent — 3: mil poł.-wsch. od Londynu) i wzywa wszystkich Polaków katolików do udziału, licząc przy tym na współdziałanie wszystkich polskich organizacji społecznych w tym hołdzie dla Królowej Polski.

Zapisy na udział w pielgrzymce przyjmują wszyscy polscy duszpasterze w Londynie i południowej Anglii, lub organizacje i osoby przez nich upoważnione. Program tej wielkiej polskiej manifestacji religijnej przewiduje:

do godz. 11.30 — przyjazd i powitanie pielgrzymów w Aylesford (parkowanie na miejscu);

godz. 12 — uroczysta Msza św. polowa i wspólna Komunia św. Celebruje ks. inf. B. Michalski, kazanie — ks. prałat W. Staniszewski (kolekta na rzecz oo. karmelitów, zbiórka po Mszy św. — na polską Akcję Katolicką;

godz, 1.30 — przerwa na posiłek i odpoczynek (herbata i kawa za opłatą na miejscu);

godz. 3 — procesja różańcowa w parku;

godz. 4 — recytowana modlitwa — ślubowanie w 300-lecie obioru N. Maryi Panny Królową Polski (tekst na kartach jubileuszowych do nabycia u duszpasterzy), błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem;

godz. 5 — koniec uroczystości i wyjazd.

Od godz. 11 będzie w Aylesford okazja do spowiedzi św., jednakże wobec małej liczby księży, pielgrzymi winni w miarę możliwości odbyć spowiedź przed pielgrzymką.

Rozmaitości

CZY POLACY MOGĄ MIEĆ WPŁYW NA WYBORY W ANGLII?

Walkę o sprawy polskie na terenie Wielkiej Brytanii musimy prowadzić w oparciu tak o Polaków obywateli polskich jak też Polaków obywateli brytyjskich. Liczba tych ostatnich wynosi, według prowizorycznych szacowań około 18 tysięcy.

Mówimy tu o Polakach, którzy po drugiej wojnie światowej przyjęli obywatelstwo brytyjskie. Istnieje ponadto jeszcze pewna liczba Polaków, którzy przyjęli obywatelstwo brytyjskie dawniej, a nie zerwali więzów uczuciowych z narodem polskim.

Czy Polacy, obywatele brytyjscy, mają jakiekolwiek szanse wywarcia wpływu na parlament westminsterski? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, przejrzałem dane z ostatnich wyborów do parlamentu w roku 1955.

Znalazłem w nich szereg okręgów wyborczych, gdzie poseł uzyskał swe miejsce tylko nieznaczną przewagą głosów. Tu więc można by, mając organizację złożoną z Polaków obywateli brytyjskich, wpłynąć na wybór posła, który przyjaźnie się odnosi do spraw polskich.

Weźmy okręgi, gdzie nadzieja taka mogłaby zaistnieć, z uwagi na odpowiedni układ głosów. I tak w London Boroughs, okręg Barons Court. W wyborach 55 roku partia pracy uzyskała tu 20.748 głosów, a konserwatyści 20.623 głosy. Partia pracy uzyskała więc tu mandat przewagą zaledwie 125 głosów, co stanowi 0,3% wyborców.

W okręgu Clapham: partia pracy — 22.394, konserwatyści 22,173, przewaga 225 głosów.

English Boroughs, Acton: partia pracy 20.645, konserwatyści 20.120, przewaga 525 głosów. Bradford North: konserwatyści 21.084, partia pracy — 21.015; przewaga tylko 69 głosów.

Carlisle: konserwatyści 20.071, partia pracy 19.701; przewaga 370 głosów.

Ealing North: konserwatyści 23.040, partia pracy 22.794, liberali 3.770; przewaga 246 głosów.

Manchester-Gorton: Partia pracy 21.102, konserwatyści 20.833, przewaga 269 głosów.

Oldham East: konserwatyści 19.185, partia pracy 18.805, liberali 5.506; przewaga 360 głosów.

Plymouth-Devonport: konserwatyści 24.821, partia pracy 24.721, liberali — 3.100; przewaga 100 głosów.

Reading: partia pracy (Jan Micardo) 25.228, konserwatyści 24.990, przewaga 238 głosów.

English Counties, Cheshire, Stalybrydge and Hyde: partia pracy 23.617, konserwatyści 23.462; przewaga 155.

Kent, Faversham: partia pracy — 23.981, konserwatyści 23.922; przewaga 59 głosów.

Norfolk-South West: partia pracy 16.781, konserwatyści 16.588, przewaga 193 głosów.

Yorkshire, North Riding, Cleveland: partia pracy 27.649, konserwatyści — 27.468, przewaga 181.

Scottish Burghs, Glasgow - Craighton: konserwatyści 19.120, partia pracy 18.910; przewaga 210.

Glasgow - Provan: partia pracy — 15.533, konserwatyści 15.353, przewaga 180 głosów.

Jak cyfry pokazują, nawet mała grupa może mieć wpływ na wynik wyborów. Podobnie jak we Francji, gdzie partie muszą się liczyć z opinią Polaków naturalizowanych, może to nastąpić i na Wyspie.

Stefan Legeżyński

WIELKA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA W NIEMCZECH

Biuletyn „KND" Związku Pracodawców Niemieckiej Republiki Związkowej podaje zestawienie własności ziemskiej według wielkości gospodarstw w Niemczech i zmian, jakie w tym zakresie zaszły w strefie sowieckiej. Zestawienie to wygląda następująco:

	Republika Związkowa	Strefa sowiecka
Wielka własność ziem. (p. 100 ha)	27.8%	0.0%
Wielkie gospodarstwa chłop. (20-100 ha)	30.4%	10.0%
Średnie gospodarstwa chłop. (5-20 ha)	30.9%	
Małe gospod. chłopskie (0.5-5 ha)	10.9%	57.0%
Karłowate gospodarstwa (poniżej 0.5 ha)	0.0%	
Spółdzielnie produkcyjne (kołchozy)	0.0%	18.0%
Inne gospodarstwa	0.0%	15.0%

Zestawienie to, poza cyfrowym ujęciem przekształceń, dokonanych w strefie sowieckiej, czyli tzw. Niemieckiej Republice Demokratycznej, jest o tyle znamienne, że wykazuje ono, iż żadne zmiany w strukturze rolniczej Niemiec zachodnich po wojnie nie zaszły i że nadal wielka własność ziemska zajmuje tam więcej niż jedną czwartą powierzchni ziemi uprawnej, jeśli zaś doliczymy do tego gospodarstwa o powierzchni 50-100 ha (w statystyce osobno nie wydzielone) dojdziemy z pewnością do cyfry 40% powierzchni zajmowanej przez dużą większość ziemską (gospodarstwa ponad 50 ha). Otóż dla porównania warto zaznaczyć, że w Polsce przedwojennej, okrzyczanej na Zachodzie, w szczególności w Anglii, jako kraj „feudalnych obszarników", gospodarstwa o powierzchni ponad 50 ha zajmowały nie więcej niż 14% ogółu ziemi uprawnej, czyli zaledwie jakąś jedną trzecią tego, co w Niemczech zachodnich.

W przedwojennych Niemczech wschodnich odsetek wielkiej własności ziemskiej był jeszcze dużo wyższy (w takiej np. Meklemburgii 63% ogółu ziemi uprawnej zajmowały gospodarstwa o powierzchni ponad 100 ha). Pod rządami komunistycznymi wprawdzie wielką własność zlikwidowano, ale na to miejsce wprowadza się — jak i w Polsce — bolszewicką formę gospodarki pańszczyźnianej, jaką są kołchozy.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca",** Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust.) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney o r a z **„Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kułakowska,** 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **DANIA: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke.Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **FRANCJA: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas,** Fagelstraat 15A. Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers,** Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service,** 57, Queen Str. W., Toronto. **NIEMCY: St. Mikiciuk,** Gab'onzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. **NORWEGIA: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. **M. Kijowski,** 380 North Ave., Dunellen, N. J. **S. J. Rozmysłowicz** 5262 Proctor, Detroit 10, Mich. **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import,** 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska,** 4 Rue Simplon, Fribourg. konto poczt. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. **SZWECJA: Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.
W sprawach **prenumeraty i ogłoszeń** prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.